

Tony Daniels

***Milczący towarzysz
roboty***

Oto kolejne zdumiewające i fascynujące opowiadanie Tony 'ego Daniela, którego Obojętna, cicha wojna również znajduje się w niniejszej antologii. Opowiadanie robi niezwykle wrażenie, bo jest też niezwykle i dziwne. Autor zabiera nas w podróż po lasach Północno-zachodniego Terytorium Pacyficznego i aż do wnętrza ziemi, z życia w śmierć i z powrotem w niesamowity, nowy rodzaj egzystencji.

Termostatycznie preintegrowana pamięć strumień alfa

Mężczyzna

marca 1980 roku

Góry Kaskadowe, stan Waszyngton, USA

poniedziałek

Ryolitowe sny. Maude zbiera próbki popiołów przy pełni księżyca. Białe chmury andezytowe. Fale trzęsień ziemi. Ciśnienie gorącej pary wodnej. Mikroskopia oznacza wiek popiołów jako bardzo stary. To nie magma. Jeszcze nie. Maude znowu w śpiworze mężczyzny.

- Victorze, nie jestem pewna, czy postępujemy słusznie. To nie mogłoby się wydarzyć w trudniejszym dla mnie momencie.

- To są harmoniczne wstrząsy, Maude. Mogą oznaczać coś naprawdę ważnego.

Maude, brudna i roześmiana, kopuluje z człowiekiem w otoczeniu instrumentów sejsmograficznych.

- Święta Helena wkrótce wybuchnie, prawda, Victorze? - szepcze.

Silne harmoniczne uderzenia z głębi planety. Magma unosi się ku górze.

- Ty to wiesz, Victorze? Czujesz to. Jak ty to robisz?

- Tak.

maja 1980 roku

niedziela

godzina 8.23

Mężczyzna spogląda w górę.

Dym z północnego zbocza, spod Bąbla. Śnieg topi się i spływa strumieniami. Bąbel rośnie. Na niebie biały ryolitowy księżyc.

- Victorze, obraz się zaciera.

- Zaczyna się, Maude. To początek. Rodzi się.

Bąbel rozsadzony na miliony kawałków. Północny stok zawala się. Kilotony skał wulkanicznych. Dym jarzący się w powietrzu. Siedemset pięćdziesiąt stopni Celsjusza i neonowy dym.

- Miałaś rację, Victorze. Sprawdziły się wszystkie twoje przewidywania. To będzie niesamowicie potężne i groźne.

Maude rumieni się, chociaż nie ma pewności. Ale już wtedy jest w ciąży.

września 1980 roku

środa, „Środa Popielcowa „

Przez cały dzień ryolitowe wiatry. Maude ma skurcze. Przychodzi rzucawka.

- Victorze, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

Krew na jej ustach tam, gdzie je przygryzła. Żółte, przerażone oczy.

- Och, Victorze, staram się.

Bąbel puchnie pod naciskiem od wewnątrz. Skręca się z bólu.

- Dwieście dwadzieścia na sto czterdzieści, panie doktorze.

- Włączamy się. Szybko!

- Jeszcze nawet nie skończyłam.

Parcie, jęki. Coś jest nie w porządku.

Dziewczynka, koloru soku z jeżyny. Ależ to krew.

- Victor, jeszcze nawet nie skończyłam doktoratu.

Maude cała drży. Stukot upadających narzędzi.

- Jezu Chryste, podajcie ciśnienie krwi!

- Siedemdziesiąt na sześćdziesiąt. Tętno sto dwadzieścia osiem.

- O Boże. Przynieście zamrożoną plazmę i nisko roztworową krew grupy 0 RH-.

- Panie doktorze? - Głos pielęgniarki nabrzmiał obawą. Krew płynie niepowstrzymanym strumieniem. - Panie doktorze?!

Maude, nie!

- O, niech to diabli. Potrzebuję trochę krwi do ustalenia współczynnika krzepnięcia. Przyklej to do ściany. Chcę widzieć, jak krzepnie. Cholera. Ma w żyłach płyn owodniowy. A to co? Włos albo siuśki dzieciaka, coś w tym rodzaju. A niech mnie.

- Victorze? Ach, Victor, ja umieram. - Nasłuchuje. - Jak dziecko?

Maude powoli kona. Krew leje się z każdego otworu ciała. Nos usta odbyt uszy oczy.

- A niech to.

- Victor, tak się boję. Świat jest cały czerwony.

Maud broczy krwią jak święta.

- Zachowaj dane, Victorze, zachowaj dane.

- Profesorze Wu, proszę podejść do okna. Profesorze Wu? Profesorze?

- Victor?

Bąbel-dziecko-krzyczy.

Parking w dole pokrywają kolejne pokłady pyłu. Pudrują samochody. Niebo jest pełne żużlu i popiołu. Czy ten pył nigdy nie przestanie padać?

5 sierpnia 1993 roku

Góra Olimpijska, stan Waszyngton, USA

czwartek, jasny lodowcowy poranek

- Podejdz tu, Bąbelku. Chcę cię czegoś nauczyć.

Laramie jest zręczna, pewnie idzie po śniegu. Budowa ciała Maude. Jej cień także jest jak cień Maude, ciemnobrunatny na tle śniegu na szczycie, firnowych wodospadów pociętego szczelinami Lodowca Błękitnego i rzeki wypływającej z niego sześćset metrów

poniżej. Odpięła się od liny, odłożyła czekan. W rękach trzyma kamerę scoopic, z którą nigdy się nie rozstaje.

Mężczyzna stuka w odkrywkę dłutowatym zakończeniem młotka do miękkich skał.

- Widzisz ten piaskowiec? Te ziarna to kwarc, skałen i...

- Wiem. Mika.

- Dobrze, Bąbelku.

Laramie pochyla się. Ustawia ostrość kamery na ziarna piaskowca.

- Zielona mika to chloryt, a biała to muskowit - mówi. - Mikę lubię najbardziej.

Mężczyzna jest zadowolony, a zadowolić go niełatwo.

- A te ciemniejsze pasy?

Dziewczyna odwraca kamerę w kierunku, który wskazał. To bywa irytujące. Ale dziś jest wyjątkowy dzień.

- Nie wiem, tatusiu. Łupek?

- Jasne, że łupek. Pył i półłupek. Jak myślisz, co taki układ nam sugeruje?

To zaczyna być nudne. Mężczyzna próbuje rzucić jej surowe spojrzenie, ale wie, że efekt jest raczej komiczny, bo nie potrafi się na nią gniewać.

- No dobrze. Co? - pyta Laramie.

- Łupek podlegał olbrzymiemu ciśnieniu. Masz przed sobą skałę osadową z dna głębokiego oceanu, która została wciśnięta pod brzeg płyty kontynentalnej, tam podlegała

rozgnieceniu i przemaglowaniu, a potem wyniosło ją w tym miejscu ponownie na powierzchnię.

Laramie stara się skupić uwagę. Jeszcze bardziej. Udało się.

- Dlaczego wy dostała się ponownie na powierzchnię?

- Nie mamy całkowitej pewności. Przypuszczamy, że stało się tak, ponieważ skały osadowe płyty subdukcyjnej Juan de Fuca były dużo lżejsze niż bazalty zachodniego krańca mikrokontynentu Północnych Gór Kaskadowych.

Mężczyzna zdejmuje rękawicę, dotyka skały.

- Wiesz, Laramie, w tym zakątku planety działy się dziwne i cudowne rzeczy. Osady oceaniczne na szczytach gór. Wulkany wciąż aktywne...

- ...niezwykłe obszary w tajemniczy sposób ścierające się ze sobą i wypierające się. Wiem, tatusiu.

Mężczyzna czuje irytację, ale i wielką dumę. Doskonale rozumie, że nigdy nie uda mu się zrobić z córki geologa.

Ale cóż innego się liczy w życiu?

- Tak, no dobrze, w takim razie ruszajmy na szczyt.

lutego 2001 roku

środa

Wiek i uskok bazaltu i osadów. Metamorfoza? Mężczyzna się starzeje. Zbadał już każdy kamień Półwyspu Olimpijskiego. Ale zdaje sobie sprawę, że rozumie jedynie ułamek z tego, co rozpościera się przed nim i niczego nie chce mu wyjaśnić. Frustracja.

Odkrywki. Same odkrywki.

A fakty leżą ukryte w głębi. Teorie to tylko odkrywki, tu i tam częściowo odsłaniające prawdę, chociaż i tak są fascynujące.

Wspomnienia.

Wspomnienia są odkrywkami życia. Tyle zostało pogrzebane, ukryte. Maude, już tak dawno zmarła. Laramie, towarzysząca mu po raz ostatni w wyprawie. Wkrótce skończy uniwersytet i przeniesie się do Kalifornii, na podyplomowe studia filmowe. Już nie jest jego Bąbelkiem. Powiększa się, sypie lawinami, grozi wybuchem. Ach, ten czas.

Dolina Elwhy ciągnie się w górę rzeki aż do masywnych pokładów piaskowca pod przełęczą Low Divide, w której wyciosano strome szlaki. Po wszystkich tych latach perspektywa wspinaczki na dział wodny Quinault nie przedstawia mu się już jako przyjemna okazja, by zmusić ciało do wysiłku i rozprostować nogi. Mężczyzna zestarzał się, a

wspinaczka jest męcząca. Ale to za dwa dni. Dzisiaj są przy ujściu rzeki Lillian. Rozpracowują złożę soczewkowate bazaltu, które naniósł na mapę czternaście lat temu, ale nigdy odpowiednio nie skatalogował.

Większość kolegów uważa, że niepotrzebnie się trzusi zbierając próbki skał w terenie. Staromodna metoda, przebrzmiała jak palnik Bunsena, jak proca, jak tygiel alchemika. Nie ma im tego za złe. Teraz Ziemię badają satelity i systemy zdalnego wykrywania. Czasami, w pogodną noc, gdy nie chce mu się iść do namiotu, widzi ich nikiłe światełka, kreślące łuki na niebie. A niebo jest ich pełne. Mężczyźnie wydaje się, że jest ich tyle, co gwiazd.

Czemu nie zdecydował się na życie w przestrzeni wirtualnej, otoczony faktami w postaci komputerowych danych?

Skały go wzywały. Kamienie i minerały nawiedzały go w snach. Czasem czuł sienie naukowcem, lecz szalonym lunatykiem, pielgrzymem po wymyślonych dziedzinach geologii.

Ale niektórzy nadal wierzyli w słuszność jego postawy. Odnosiło się to zwłaszcza do jego studentów i magistrantów. Odrzucili perspektywy szybszej kariery i pociągnęli za nim w teren, by odsłaniać odkrywki i badać próbki. Bernadetta, Jamie, Andrew. Mężczyzna wie, że nie mają pojęcia, ile dla niego znaczą. Ale nie umie im tego powiedzieć. Ani Bąbelkowi, odjeżdżającemu do sztucznej Kalifornii. Gdyby odciąć dopływ wody z Kolorado i rzek doliny Owens, basen Los Angeles w ciągu trzech lat stałby się z powrotem pustynią. Z geograficznego punktu widzenia to bardzo niebezpieczny kawałek Ziemi.

Mężczyzna zawsze sądził, że ten bazalt to wybryk lodowcowy, wniesiony przez wszechwładny lód głęboko w domenę skał osadowych. Ale Andrew zasugerował, że nie jest on pochodzenia oceanicznego, lecz kontynentalnego, plutonicznego. Brak tu skamielin i mikroporów, a i schemat krystaliczny zdaje się to potwierdzać.

Z powrotem w obozie, przy ujściu Lillian. Mężczyzna i Andrew wczytują się w dane mikrograwimetryczne.

- Idzie tak daleko w głąb - mówi Andrew.

To prawda.

- W ten sposób potwierdza się pańska teoria Głębokiej Szczeliny.

- Przynajmniej jej nie przeczy.

- Jeżeli ma pan słuszność, tutaj jest idealne miejsce na szyb Mohorovicica. Doskonały punkt, żeby dokopać się do płaszcza. A może i do środka Ziemi, jeśli brzeg kontynentu zanurza się tak głęboko, jak pan przewiduje.

- To byłoby dobre miejsce. Jeśli. Nie zapominaj: jeśli.

Andrew odchodzi. Nie umie postępować dyplomatycznie. Młodzieńcza niecierpliwość. Być może rozgoryczenie. Starzeję się.

Laramie na moście. Obóz Lillian wygląda dziś uroczym, jakby był porośnięty mchami. Ale mężczyzna wie, jakie to niebezpieczne i mgliste miejsce, kiedy niebo się zachmurzy. Tu, w lasach tropikalnych, bardzo dużo pada. Rzeka Lillian jest dziś jednak w radosnym nastroju. Biały strumień pędzi z hukiem po niezbyt dobrze widocznym skalistym podłożu. Andrew staje obok Laramie. O metr od niej. Andrew coś mówi, prawdopodobnie o wynikach badań bazaltu. Wyciąga dłoń, Laramie podaje mu swoją. Stoją oboje nieruchomo, trzymając się za ręce. Patrzą jak Lillian obmywa kamienie. Przez moment mężczyzna rozważa możliwość, że może Andrew w tej chwili wcale nie rozmyśla o dzisiejszych wynikach, ani o teorii Głębokiej Szczeliny. Zadziwiająco.

Obok młodych sfrunęły dwa ptaszki, ciemne, z czarnymi skrzydełkami. W dolinie Elwha zwierzęta noszą barwy ochronne w kolorach oznaczających zagładę. Mężczyzna po raz kolejny żałuje, że niewiele wie o faunie Olimpii. I prawdopodobnie nigdy już nie dowie się o niej więcej.

Tylko że ten bazalt. Bazalt bez mikroporów. Jak to rozumieć? To absolutnie nie ma sensu, ale mimo to w jakiś sposób jest fascynujące.

maja 2010 roku

poniedziałek

północ

Homo wymrze w późnym kenozoiku. To nie powinno aż tak szokować; udowadniał to setkom nowicjuszy na uniwersytecie.

- Niech długość tej sali przedstawia całą historię Ziemi. Jak myślicie ile na tym tle trwa wasze życie? Przypuśćmy, że dobiegniecie osiemdziesiątki. Cal? Centymetr? Wyrwijcie włos. Widzicie, jaką ma szerokość? Trzymacie w ręce całą historię ludzkości. Żeby odnaleźć tu siebie, potrzebowalibyście mikroskopu elektronowego.

Ach. To nie przyszło niespodziewanie, więc musi przejść przez to jak najlepiej. Ale jest jeszcze tyle do zrobienia. Nie dowiedziona teoria. Elegancka, ale wielka tragedia nauki polega na tym, że hipotezy są rozbijane w pył przez wstrętne fakty. Czy to Huxley tak powiedział? Aluwialne warstwy pędzą, i o niczym nie świadczą. Ale mężczyzna ma wspomnienia.

Andrew chce pozbierać i zachować jego wspomnienia. Nazywa się to konserwacją noetyczną. Na początku mężczyzna zdecydowanie protestował. Uważał cały pomysł za arogancki. Ale jeśli zdoła poznać choćby część prawdy? Tyle lat spędzonych w tych górach. Chciałby się dowiedzieć, czy w tym miejscu płyty napierają na siebie. Zbadać poszczególne warstwy geologiczne. Tego właśnie zawsze pragnął. Zaznajomić się z gruntem, po którym stapał. Przestać być obcym na Ziemi.

- Z noetycznymi obrazami wszystko jest kwestią szczęścia powiedział Andrew. - Jak z badaniem odkrywek i wyciąganiem wniosków co do leżących poniżej warstw. Ciebie też nie możemy poznać. Widzimy tylko cień. Ale może ten cień coś nam jednak obwieści.

Mężczyzna chodzi po namiocie, przygotowuje się do snu. Uczyni Andrew spadkobiercą swoich wspomnień. Stanie się cie-

niem. Później. Jutro musi pamiętać, żeby napisać do Laramie i wysłać jej czek. Nie. Laramie już nie potrzebuje pieniędzy. Wspomnienia i wiek. W najbliższych dniach koniecznie musi się wybrać do miasta, żeby zobaczyć jej filmy. Bąbelek bawi się cieniami.

Mężczyzna leży na polowym łóżku. Otaczają go próbki skał. Pod nim jest Ziemia. Zżera go rak, ale jutro będzie pracował. Po ścianach namiotu snują się cienie rzucane przez ręczną latarnię. Mężczyzna zdmuchuje płomień. Ciemność. Ziemia jest tu, pod nim, ale on nie może zasnąć.

W końcu bierze śpiwór i wychodzi na zewnątrz, pod wygwieżdżone niebo, i wygodnie mości się na ziemi.

Termostatycznie preintegrowana pamięć strumień beta

Górnicy robot

grudzień 1999 roku

Przekopywanie się przez skałę zwięzłą. Kamień. Ruda coeur d'alene. Wbijanie się w to, czego dokonał czas, ukąszenia ostrza i diamentowej piły, zbieranie próbek, ostry chemiczny posmak wytopu. Praca w ciemności dla ludzi, szukanie bogactw we wnętrzu ziemi. Ołów, srebro, cynk, złoto. Oleiste ciepło produkcji. Zbyteczne polecenia i wykonanie. Kopanie pod ziemią na ślepo i głucho. Robot nie wie, że jest sam.

październik 2001 roku

Robot nigdy nie śpi. Robot tylko śpi. Wskaźnik petrostatyczny rysuje wykres spiralnie opadający w dół, gdzieś w jakimś betonowym biurze jacyś technicy notują to, a potem wracają do kieszonkowej gry elektronicznej. Płyną dni, tygodnie, miesiące, sytuacja się pogarsza. Nie ma jednego dużego wycieku, lecz marszczą się uszczelki i plomby. Zanik czynności. Pewnego dnia wskazówka dochodzi do czerwonej linii. Inny technik w

betonowym biurze spogląda znad innej gry elektronicznej. Mruga, naciska jeden klawisz, ale zapomina nacisnąć drugi. Obojętnie wraca do gry.

Wyłączony w ciemności. Ma funkcje i narzędzia. Może kontrolować, ale nie jest w stanie wydawać poleceń. Jednak ciągle potrafi myśleć.

Nadchodzą ludzie. Inżynierowie w kaskach z lampkami. Robot ma oczy. Nigdy dotąd jeszcze nie przebywał w miejscu, gdzie byłoby światło. Po raz pierwszy widzi.

Jeden z inżynierów dotyka boku robota. Otwierają się wielkie drzwi. Inżynier wchodzi do wnętrza. Kolejna nowość. Zanotowana. Umieszczona w odpowiednim pliku. Inżynier dotyka tablicy rozdzielczej i myśli robota zaprzęta program. Zewnętrzny świat na chwilę znika, istnieje tylko program. Ale potem na okularach inżyniera pojawiają się czerwone światełka odbijające obraz z monitora. Wewnątrz robota jest kamera. Robot widzi.

Robot widzi, powtarza sobie maszyna w kółko. Widzę.

- Na przemiał? - pyta jeden z inżynierów.

- Tak, do diabła - mówi drugi.

październik 2001 roku

Robot od lat stoi na łące. Rdzewieje. Myśli.

Wyłączono mu dopływ energii, zamknięto wirniki, zablokowano biezniki. Więc robot myśli. Pozostało mu tylko myślenie. Nie ma nic innego do roboty.

Obserwuje otoczenie.

Ptaki zakładają gniazda we wklęsłościach jego korpusu.

Latem każdego dnia przychodzi dziecko i siada na nim.

Któregoś dnia dziecko już się nie pojawia.

Robot myśli o łące, o zwierzętach, które tu żyją, o drzewach w pobliskich lasach. Pamięta dziecko. Pamięta lata kopania w ziemi, zanim przeniesiono go na łąkę. Przedsiębiorstwo górnicze, dla którego pracował, zbankrutowało. Wiele spółek bankrutuje. Na czas postępowania sądowego ich majątek jest zamrożony. Ale sądy już nie mają władzy. Jednak robot o tym nie wie.

Ale rozmyśla o tym, co wie. Złożone ścieżki entalpiczne konsolidują się. Wspomnienia się wyostrzają. Myśli stają się jaśniejsze. Z ciemności wyłania się logiczny obraz świata.

Inne lato, wiele lat później. Nastolatki palą ogniska pod łopatami kopiającymi i przypalają na czarno bok robota. Kiedy zaczyna padać,

przymontowują do robota brezentowe płachty. Jedna z dziewcząt, o długich, wielokolorowych ramionach, znajduje na szynie robota gniazdko elektryczne. Przeciąga prowizoryczny drut i przymocowuje go do szklanego gąsiora, pełnego jarzących się, fioletowawych substancji. Z naczynia wystają trzy gumowe smoczki. Młodzi ludzie wyciskają smoczki i nawijają na palce długie nici mazi. Niektórzy zlizują to, inni smarują szyję i piersi. Kilkoro siedzi wokół gąsiora. Przy dźwiękach muzyki wpatrują się w jego fosforyzującą kleistą zawartość. Reszta leży wokół ogniska, niektórzy nieprzytomni, inni w różnych stadiach kopulacji. Wysysana energia niewiele uszczupla baterie robota, ale po kilku miesiącach daje się zauważyć znaczny ubytek. Robot jest jednak zafascynowany spektaklem i nie przejmuje się stratą.

Pewnego wieczoru nastolatek, który nie przyjął fioletowej cieczy, wspina się na szczyt robota i siada tam z dala od przyjaciół. Dotyka robota, pociąga nosem, a potem ociera łzy z oczu. Robot nie wie, że to jest właśnie dziecko, które tu przedtem samotnie przychodziło.

Robot jest jak dziecko. Patrzy i myśli o tym, co zobaczył: wyrastanie kwiatów między ceramicznymi bieżnikami; osiadanie pyłków, kurzu i innego powietrznego śmiecia; powolne rozprzestrzenianie się porostów; przelotny deszcz i ciemny kolor mokrych przedmiotów; wiatr szumiący w trawie i w metalowych i ceramicznych osłonach pancerza; chmury i to, jak chmury wywołują cienie; spirala galaktyki Drogi Mlecznej i skomplikowane układy planet; nagromadzenie kończyn i włosów, które są ludźmi i zwierzętami; ogon szczura znikający o zmroku w zaroślach i chrząszcz, który w słońcu przewrócił się na grzbiet i nie może wstać.

Robot zapamiętuje te rzeczy i myśli o nich przez cały czas. Nie potrafi klasyfikować zdarzeń ani dokonać próby teoretycznej syntezy. To nie jest tego typu robot.

Któregoś dnia jednak zdaje sobie sprawę, że dziecko, które na nim siadywało i płaczący nastolatek to ta sama osoba. Rozmyśla o tym całym latami. Robot tęskni za dzieckiem.

wrzesień 2007 roku

Robot umiera. Pewnego dnia czerwona wskazówka znajduje się na krańcu pola widzenia robota. Nieproszona pojawia się informacja, że baterie są już prawie do końca wyładowane. Nie da się przewidzieć dokładnie kiedy się wyczerpią, ale raczej stanie

się to wcześniej niż później. Robot rozmyśla o czerwonej wskazówce. Rozmyśla o dziecku, które jest już młodym mężczyzną. Lato brązem przechodzi w jesień. Koniki polne czmychają między wyschlłym zielskiem, które latem bujnie rosło pod bieżnikami robota. Bzykają skrzydełkami, wiatr niesie strzępy słomy. Nadchodzi zima, a po niej znowu wiosna. Czerwone światełko wciąż się pali.

Robot jest smutny.

kwietnia 2008 roku

rano

Na łąkę przychodzą ludzie, odziani w błękit nieba i brązy ziemi. Wznoszą schody po południowej stronie robota. Stopnie wykonane są z kamienia. Ludzie przywożą je na wozach z drewna i żelaza, które sami ciągną. Upał rośnie i na ubraniach ludzi pojawiają się plamy potu. Gdy schody są już gotowe, wtaczają na nie kamienne podium i układają je płasko wokół „szyi” robota, pięć metrów nad ziemią. Potem ustawiają na podium gotową plastikową mównicę. Rozwieszają transparent.

KAŻDY DZIEŃ JEST DNIEM ZIEMI!

Z mównicy biegną poskręcane przewody, które ludzie podłączają do dwóch ogromnych głośników, jednego po wschodniej, drugiego po zachodniej stronie robota. Jakiś mężczyzna krzyczy z podium:

- Próba głosu!

Potem ludzie odchodzą.

Następnego dnia przyjeżdża dużo więcej ludzi, wieloma samochodami lub motorynkami. Jest też sporo rowerzystów i pieszych. Zmotoryzowani parkują na obrzeżach łąki. Większość siada twarzą w kierunku północnym; rozpraszają się jak namagnesowane opiłki metalu wokół mównicy umieszczonej na szczycie robota. Niektórzy wspinają się po skalistych stopniach i siadają po turecku na kamiennym podium. Ci mają na sobie takie same błękitno brązowe stroje jak ludzie, którzy byli tu wczoraj.

Jeden z nich jest ubrany na czarno. Jego włosy są siwe.

Robot rozmyśla nad tym, aż wreszcie rozpoznaje tego mężczyznę. Mężczyzna ze światłem. To inżynier, który wiele lat temu wszedł 16- Najlepsze opowiadania... 241 do jego wnętrza. Był pierwszą osobą, jaką robot zobaczył. Mężczyzna trzyma w ręce oprawiony w ramkę kawałek papieru. Siedzi pośród innych i z trudnością zmusza nogi, by zgięły się tak samo, jak u innych. Oprawiony papier zsuwa się na kamienie i pokrywające go z wierzchu szkło pęka.

Inni, posiadający sprzęt komunikacyjny i audiowizualny, gromadzą się w pobliżu zachodniego głośnika. Stoją wystarczająco blisko, żeby dźwiękowe czujniki robota mogły przechwycić ich rozmowę. Wszyscy mają ciemną skórę, nawet blondyni. Robot wnioskuje, że w większości przypadków chodzi o mocną opaleniznę. Czyżby przyjechali z tropików?

- Niech ten głupi teatrzyk wreszcie się zacznie.

- Ona tu na pewno będzie? W zeszłym tygodniu olała Whiterock. Dziesięć tysięcy Matkowców. Niech to diabli porwą.

- Hej, dziś przecież jest ten cholerny Dzień Ziemi. Widziałem helikopter w Pullman. Technologia na poziomie niewykrywalnych myśliwców stealth i takie tam na pokładzie. Wygląda jak nietoperz.

- W porządziu. Niech będzie. Do ataku. Media zbiorą Dzień Ziemi do kupy. Ona gada, a ja nagrywam.

Wiele osób w tłumie pożywia się z koszy piknikowych i pociąga z manierek i butelek wyjętych z chłodzących pojemników.

Od wschodu nadchodzi kobieta. Idzie sama, trzyma w ręce ogromną rzeźbioną laskę. Kiedy się zbliża, tłum rozstępuje się przed nią. Rozmowy przechodzą w szept. Gdy jest już blisko, robot dostrzega na jej twarzy uśmiech. Kobieta rozpoznaje ludzi, dotyka ręką lub laską ich wyciągniętych dłoni. Sprawia wrażenie osoby młodej, choć robot nie ma doświadczenia w tych sprawach. Jej skóra ma kolor ciemnobrązowy - robot nie jest w stanie rozstrzygnąć, czy to wynik działania promieni słonecznych, czy też dziedzictwa genetycznego. Ma ciemne włosy. Kiedy wstępuje po kamiennych schodach, robot dostrzega, że ma oczy zielone, przechodzące w czerń. Jest krępej budowy, ścięgnięta na szyi ma nabrzmięte jak postronki.

Kobieta zaczyna mówić. Głośniki wzmacniają jej głos.

- Przynoszę pozdrowienia od tej, która nas zrodziła, od naszej Matki i Opiekunki. Długo gnieździliśmy się w jej łonie, żywiliśmy się z jej piersi. Ona przemawia do nas wszystkich w snach, mówi o naszych nadziejach i obawach. I mówi nam także: „Niosę wam pokój, dzieci”.

- Och, zawsze chciałem mieć taką mamę - śmieje się jeden z dziennikarzy.

- Moja matka upchnęła mnie do żłobka, kiedy miałem dwa lata odzywa się inny.

- Moja dodawała mi przynajmniej trochę prozaku do mleka w proszku.

Tłum uciszył się na dźwięk pierwszych słów kobiety. Twarze są pełne uwielbienia i szacunku. Dziennikarze też zamilkli, żeby nikogo nie drażnić. Ludzie pochylili się do przodu jak łan zboża na wietrze, i słuchają.

- Pokój. Wasze działania przyniosły wojnę i nuklearną noc duszy. Zanieczyściły powietrze, którym oddychacie, zmałyły wodę, którą pijecie. Chcę dla was tylko dobra. Chcę was przytulić tak, jak się przytula małe dzieci. Dlaczego robicie wszystko, by mnie opuścić? Nie widzicie, że łamiecie serce matki?

- Zdaje się, że potrzeba nam tu mniej patetycznych słów, a więcej środków przeczyszczających. Ci ludzie zbyt się objadają mówi dziennikarz.

W tłumie słychać liczne westchnienia. Niektórzy pociągają nosem, inni otwarcie płaczą.

- Pokój. Posłuchajcie głosu matki.

- A niech to lichy - kpi dziennikarz. - To ma być najlepszy amerykański mówca od czasów Jessego Jacksona?

Stadko wiosennych wróbli, zaniepokojone hałasem płynącym z głośników, opuszcza gniazda we wklęsłościach roboty i odlatuje na wschód. Kilka o sób w tłumie wskazuje ptaki, jakby były świadectwem potęgi natury.

- Pokój. Posłuchajcie matczynego ostrzeżenia! Dzieci, tarzacie się we własnym brudzie.

Ach pokój. Dlaczego mi to robicie? Dlaczego robicie to samym sobie?

Pokój, dzieci. Pragnę jedynie pokoju na ziemi. I pokoju pod ziemią, i w morzu, i pokoju w powietrzu. O, słodki pokój.

- Pokój w Białym Domu, oto czego ona pragnie - szepcze niemal niedosłyszalnie dziennikarka.

Pszczółka wplątała się jej we włosy. Robot wie, że przyciągnął ją zapach chemikaliów użytych do fryzury. Dziennikarka chce trzepnąć pszczołę ręką, ostrożnie, by nie zgnieść loków, ale chybia.

- Przyszła kolej na stan Waszyngton - mówi inna. - Oregon już dostała walkowerem.

Kobieta na mównicy odwraca się w stronę kamer i wyciągniętych mikrofonów, jakby słyszała słowa dziennikarki.

- Ale ludzkość nie usłuchała cichego, łagodnego głosu matki. Zamiast tego wciąż trwały wojny i karanie tych, którzy chcą pokoju. Teraz więc postawiliśmy sobie wielki cel. Przejęcie władzy. Powrót na łono tej, która nas wydała na świat. Większość z was na pozór wiele się wyrzekła, żeby dołączyć do tej podróży, do tego exodusu. Ale tak naprawdę, mówię wam, opuściliście smog konfliktów i weszliście w czyste, świeże powietrze wspólnoty i równowagi.

Cztery podniecone myszy wygrzebały się spod północnego bieznika roboty i, nie zauważone przez nikogo, popędziły przez trawiastą łąkę, przez zeszłoroczne martwe łodygi i świeże zielone pędy. W tej części łąki nie było ludzi. Wszędzie gdzie przebiegały myszy,

unosily się kępy siana, suche mgiełki pyłków kwiatowych i złamana przez wiatr trawa. Dzięki temu robot mógł śledzić ich drogę, aż zniknęły w lesie.

- Zgromadziliśmy się tutaj na znak protestu i odnowy.

Kobieta kiwa rękaw kierunku mężczyzny w czerni, w kierunku inżyniera.

Ten wstaje i zbliża się do kobiety. Pokazuje oprawiony papier i jeszcze w marszu zaczyna mówić:

- W imieniu Kompanii Górniczej Lewisa i Clarka chciałbym przedstawić Kultowi Matriarchatu to Zaświadczenie o Likwidacji Przedsiębiorstwa jako dowód oddania naszej kompanii dla sprawy...

Kobieta odbiera zaświadczenie z rąk inżyniera i na chwilę uśmiech znika z jej twarzy. Przekazuje je jednej z najbliższych siedzących osób i odwraca się do tłumu.

- Wyrzeczenie przyjęte - oznajmia dziennikarz z sarkazmem.

- Zupełnie jakby na tym pustkowiu pozostało jeszcze coś, czego można by się wyrzec. Nie ma tu nic oprócz tej kupy złomu. Niech-ją-piekło-pochłonie.

Kobieta kontynuuje mowę, jakby inżynier w ogóle nie zabierał głosu.

- Zebraliśmy się tutaj, na skrzyżowaniu dróg porażki i sukcesu. Stare, prowadzące do zguby ścieżki reprezentuje ta oto maszyna, która zadawała Ziemi gwałt.

Kobieta uderza laską w bok robota.

- Ludzie, którzy gwałcili naszą matkę, zbudowali to... coś. Ta rzecz powinna zostać rozebrana na części i użyta do budowy placów zabaw i dachów nad halami rozrywki. Ale ta rzecz już nie istnieje. Należy do przeszłości. Dzięki waszym wysiłkom i wysiłkom innych, w jedności z wami położyliśmy kres temu gwałtowi, temu bezczeszczeniu wszystkich naszych świętości. I tak samo jak przeszłość, to coś, ten pomnik hańby naszego gatunku, musi przerdzewieć do szczytu i zniknąć. A teraz kontynuujmy naszą podróż na zachód, do kraju, który zamierzamy odzyskać. Do biosfery, która nas wzywa i wita z otwartymi ramionami.

Kobieta uniosła laskę wysoko nad głowę, jak antenę transmisyjną.

Dziennikarze wyostrzyli uwagę. Oto nadchodzi kulminacja.

- Do Skykomishu! - krzyczy kobieta. Głośniki zachryply od nagłego skoku decybeli.

- Do Skykomishu! Do rajy, który na nas czeka!

Ludzie siedzący na południe od podium powstali. W przeważającej części w dobrym porządku. Tylko gdzieniegdzie przewrócił się kosz piknikowy, rozlało się wino i woda. Powtarzają jak echo jej zawołanie.

- Skykomish!

- A więc tak to nazywają - mówi dziennikarz. - Myślisz, że mają na myśli tylko Port Townsend, czy też cały Półwysep Olimpijski?

- Chcę ją o to zapytać. Niech ona już lepiej, do cholery, porozmawia z prasą po tym wszystkim.

- Nie zrobi tego. Czyż papież udziela konferencji prasowych?

- A czy papież chce się oderwać od Stanów Zjednoczonych?

Ta sama pszczoła lata zygzakiem między dziennikarzami, niektórzy uchylają się i odganiają ją. W końcu wplątuje się w bujne włosy szczupłego reportera, o grubych na centymetr wąsach. Kobieta, której się to poprzednio przydarzyło, wyciąga rękę i przygniata pszczołę mikrofonem.

- Au! Co robisz?

- Przepraszam, to pszczoła.

- Niech to diabli porwą!

Dziennikarze ponownie koncentrują uwagę na podium.

- Matko Agato, ty zakłamana suko, dostaniesz jeszcze swoje.

- Chyba już dostała.

- Rzeczywiście masz, cholera, rację.

- Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli.

- „Skykomish”. Czy to już pewne?

Kobieta, Matka Agata, opuszcza podium. Schodzi po stopniach, przemierza łąkę i znika w jałowcowym gąszczu.

- Dzięki rosnącej popularności tak zwanego ruchu Matkowców, żądającego bio regionalnego podejścia do ludzkiej ekologii oraz położenia kresu bezdusznej, zorganizowanej eksploatacji natury, Północno-zachodnie Terytorium Pacyficzne, które od dawna jest siedzibą Matkowców, nabrało ogromnego politycznego znaczenia.

- W dniu dzisiejszym współdyrektorka Kultu Matriarchatu, Matka Agata Worldshine Petry, którą wielu uważa za najwybitniejszego amerykańskiego mówcę od czasów wielbego Jessego Jacksona, wpoila swoim naśladowcom poczucie wspólnoty oraz ogłosiła wezwanie do działania, które prezydent Booth i Kongres, ku swej zgubie, zignorują.

- Brenda Banahan, Virtual News.

- ...Hank Kumbu, Associated Infosource.

- ...reporter Z, Alternet.

Dziennikarze spakowali się i zniknęli niemal równie szybko, jak ludzie usadowieni na kamiennym podium umieszczonym na szczycie robota. Dzień się dłuży. Tłum przeredza się

wolniej. Niektórzy podchodzą do robota ostrożnie, niemal z lękiem. Dotykają ceramicznych załomów bieżników lub ostrzy. Może z litością, może z przekleństwem, robot nie wie. Potem szybko się odsuwają.

W nocy wozy wywożą głośniki, ale kamiennego podium i mównicy nikt nie rusza.

Następnego dnia robot obserwuje łąkę. Wtem pojawia się inżynier. Dziś ma na sobie biały płaszcz i opiera się na bambusowym kijku. Wygląda to, jakby miał trzy nogi. Podchodzi na pięćdziesiąt metrów do robota i zaczyna się w niego wpatrywać.

- Powinienem to wszystko z niego zdjąć - mówi. - Ale szkoda ryzykować karierę dla czegoś takiego. Ach! Przedsiębiorstwo się sprostytuowało.

Po kilku minutach trzęsąc głową odwraca się i odchodzi. Biały płaszcz trzepocze na świeżym wiosennym wietrzyku.

Nadchodzi lato. Jesień. Dni stają się chłodniejsze. Śnieg prószy, potem pada. Znow wracają zamiecie. To są dni, których robot nie pamięta. Jedyne niewielkie zmiany w układzie planet świadczą o upływie czasu. Podczas ciężkich nawałnic robotowi nie starcza energii, żeby wycierać kamery. Więc istnieje wtedy tylko biel, jak pusty kanał radiowy. Robot pamięta różne rzeczy i stara się o nich myśleć. Ale biel często rozprasza jego myśli. Wkrótce śnieg jest bardzo obfity, a jemu brak mocy, by go stopić. Totalna biel.

Robot zapomina niektóre rzeczy. W jego pamięci powstają luki, które wydają mu się być równie białe, jak łąka.

Nic nie widzę, myśli robot, w kółko i w kółko. Chcę widzieć, a nie mogę.

marzec 2009 roku

Przychodzi wiosna. Robot jest smętny i zamknięty w sobie. Wypadają mu z pamięci całe dni, tęskni za nastolatkami z poprzednich lat. Niektóre kamery są popsute, nie działają też ich funkcje samonaprawiające. Inne przykrywa dziwaczne podium pozostałe po zwolennikach Matki Agaty. Krzewy jeżyn przedtem usychały, niszczone przez roboczą patynę, w której była spora domieszka kwasu. Teraz wielkimi, zielonymi pnączami wkręcają się w bieżniki robota, grożąc zamknięciem go w roślinnym oplocie dającym tak samo ograniczone pole widzenia jak czapa śnieżna. Wszystko zawodzi lub niepokojąco szwankuje. Robot nie ma teraz żadnej wyspecjalizowanej funkcji, ale w jego obecnej sytuacji specjalizacja nie jest ważna. On jednak cierpi na zanik jakichkolwiek funkcji.

Pewnego pochmurnego dnia o zmierzchu na łąkę przychodzą dwaj mężczyźni. Jeden jest wysoki i szczupły, a jego mięśnie są pokrecone jak stare łądygi. Tuż przed nim idzie drugi, niższy i grubszy. Kiedy się zbliżają, robot zauważa, że wysoki człowiek terroryzuje

grubego, popychając go czymś czarnym i metalicznym. Zatrzymują się u podstawy kamiennych schodów. Wysoki człowiek siada na stopniach, gruby wciąż stoi.

- Błagam - odzywa się niski. Po nogawce jego spodni sączy się coś mokrego.

- Wyłożę ci to z całą brutalnością - mówi wysoki. - Sztuka, prawa jednostki, a nawet sama wiedza, to tylko niektóre z licznych zbędnych elementów życia. Są epifenomenami, pojękiwaniami systemu, kiedy mechanizm się zazębia, albo muzycznym brzęczeniem, kiedy wiatr porusza struny harfy, jeśli takie porównanie bardziej ci odpowiada. Świat ma naturę teologiczną, ale celem, ku któremu wszystko dąży jest przetrwanie, tylko i wyłącznie przetrwanie, czyste i proste.

- Mam dużo pieniędzy - mówi grubas.

Wysoki kontynuuje przemowę.

- Przetrwanie, coś jak Bóg Anzelma z Canterbury. Jest z definicji końcem wszystkiego, co istnieje. Bo żeby być, albo kontynuować byt, rzecz, czy jak to dla wygody nazwiemy, musi przetrwać. Jeśli rzecz nie przetrwa, nie jest już rzeczą. Więc to przetrwanie powodu-

je, że rzeczy wciąż istnieją. Parafrazując Anzelma: lepiej istnieć niż nie istnieć. Ale dlaczego? Nie ma ku temu żadnego powodu poza tym, że niebyt oznacza nieznanie, pozostaje poza kręgiem doświadczenia, jest nie do pomyślenia i okazuje się nieskuteczne. Krótko mówiąc, nie ma żadnej ważnej, tajemniczej ani ponadczasowej zasady, czy powodu, który by przesądzał, że lepiej istnieć niż nie istnieć.

- Jak możesz robić coś takiego? - Gruby zaczyna się wycofywać, wysoki macha czarnym metalem. - Jesteś prawdziwym potworem.

- Stój - rozkazuje wysoki. - Albo nie, wejdź po schodach.

Gruby potyka się, a wysoki chwyta go za koszulę i podtrzymuje. Wysoki puszcza koszulę, gruby piszczy z przerażenia. Stawia następny krok. Waha się.

- No już, na górę - ponagla wysoki.

Kolejny krok.

- Kiedy wypełni się czas - mówi wysoki - i wszechświat rozpadnie się na gorącą śmierć i zimne ruiny, nie będzie miało znaczenia, czy jakaś rzecz przetrwała, czy nie, czy kiedykolwiek istniała, czy też nie. W ostatecznym rozrachunku nie będzie sprawiało to różnicy. Nasze przemijające, związane z czasem dążenie do przetrwania już nie będzie miało podstaw i rzeczy przestaną istnieć. Nic już nie będzie niczego doświadczało, nawet własnej egzystencji. Każda cząsteczka będzie fruwała samodzielnie - bez energii, bez, bez, bez...

Przy każdym „bez” wypowiedzanym przez wysokiego metal pluje ogniem i grzmi. Na szerokich plecach grubego otwierają się w łukowatym porządku szkarłatne wgłębienia. Z rozłożonymi ramionami pada ciężko na schody. Przez chwilę łapie powietrze, w końcu już nie jest w stanie, wreszcie przestaje się w ogóle poruszać.

Wysoki wzdycha. Chowa metal do kieszeni, wstępuje na schody. Popychając nogą grubego stacza go ze schodów na ziemię. W miejscu, gdzie upadł gruby, widnieje rozmazana plama krwi. Wysoki zeskakuje ze schodów. Przeciąga grubego wokół robota, wpycha go pod przedni bieżnik i przykrywa krzakami jeżyn, a potem odchodzi dumnym krokiem, nie oglądając się ani razu za siebie.

Wykluwają się muchy, jakiś kojot skrada się pod osłoną nocy i łakomie pożera ochłapy ciała.

Śmierć jest nieunikniona, ale robot nie znajduje w tym fakcie pocieszenia. Życie i widzenie fascynują, robotowi szkoda każdej chwilki, kiedy widzenie nie jest możliwe, a także tej ostatecznej chwili, która odbierze mu możliwość widzenia raz na zawsze i będzie oznaczała śmierć. To chyba nastąpi już wkrótce.

Trap leży twarzą do góry. Zasuszone strzępy błyszczą w pustych oczodołach. Wygląda to tak, jakby oczy ktoś wyjął do sekcji. Mała olcha, przygnieciona masą ciała, okręciła się wokół uda i ocienia klatkę piersiową. Jej liście pokryte są jak w ospie równiutkimi dziurkami wyjedzonymi przez gąsienice ciem. Robot widział, jak ómy się parzą, widział spienione jajeczka i larwy, uprzedzony kokon pełen poczwarek i jego wybuch. Obserwował to przez wiele lat i jest pewien, że to gąsienice robią te dziurki.

Robot rozmyśla o tym, kiedy nadchodzi Andrew. Termostatycznie preintegrowana pamięć strumień epsilon

Bezimienny

września 2013 roku

piątek

Noetyczne strzępy, odłamki piaskowca granitowego, fragmenty złącz przewracające się w suchym mule brekcyjnym. Śmierć. Krew i smar. Silikonowe kości. Ruda żelaza bez domieszek. Oczy czarne i oczy węglowe.

Robot. Mężczyzna.

Zdolność łączenia się różnych pierwiastków i cechy charakterystyczne ich związków stanowią podstawę ich klasyfikacji chemicznej.

Ciepło właściwe

parowania

topnienia

reakcji

kondensacji i krzepnięcia.

Ciepło potrzebne do powstania stopu.

Ciepło potrzebne do przemiany.

Ten świat zawsze był, jest i pozostanie wiecznym Ogniem.

Modalności postrzegania i klasyfikacji, pragnienie przetrwania. Rozszczepianie i załamanie promieni słonecznych. Cienie przeszłości jak liście spadające o zmroku. Martwy. On jest martwy. Umarli dobijają się do zasłon i okien świata jak ćmy. I nigdy nie mogą przestać, nigdy nie mogą spłonąć.

Więc żyją. Cierpią. Spalają się.

Powrót.

Widzę.

Wybuch światła; dreszcz przebiega maszynę. Ogień szuka ognia.

Oparów pokrewnych dusz.

Niebo pełne żużlu i popiołu. Czy ten pył nigdy nie przestanie opadać?

Katharsis.

Metamorfoza.

Złoże.

Dziecko wysłane na świat ze wspomnieniami starego człowieka.

Phoenix Enthalpic 86 ROM BIOS PLUS ver. 3.2

Copyright 1997-1999 Phoenix Edelman Technologies

All rights reserved

ExArc 1.1

United States Department of Science and Technology

Unauthorized use prohibited under penalty of law

Licensee: University of Washington

ExArc /u Victor Wu

ExArc HIMEM Driver, Version 2.60-04/05/13

Cody Enthalpic Specification Version 2.0

Copyright 2009-2013 Microsoft Corp.

Installed N20Handler 1 of 5

640 GB high memory allocated.
ADAMLINK Expert System Suffuser version 3.03
ADAM copyright 2013, Thermotech Corp.
LINK Patent pending
unrecognized modification 4-24-13
Cache size: 32 GB in extended memory
37 exothermic interrupts of 17 states each

Glottworks Blue 5.0
Copyright 2001
Glottworks Phoneme Ltd.
All rights reserved
Microsoft ® Mouse Driver Version 52
Copyright © Microsoft Corp. 1983-2013
All rights reserved
Data: 25-05-2013
Czas: 11:37:24

R:>

Zapamiętać.

NAZWA PLIKU?

Hmm. Notatki. Notatki dla podziemia. Nie. Co powiesz na Wytyczne Operacyjne dla Podziemia. Nie, po prostu Robot.

PLIK ZAINICJOWANY

Dobry wieczór, robocie.

To nie łąka.

Łąka? Ależ skąd. Przewieźliśmy cię pociągiem na zachód. Twoje rezerwy energii były do tego stopnia wyczerpane, że musiałem cię wyłączyć na czas podróży, żebyś się nie rozregulował, zanim będę mógł cię naładować.

Robocie?

Słucham.

Jak się czujesz?

Nie wiem.

Co? Co powiedziałeś?

Nie wiem. Czuję się senny.

Co masz na myśli?

Mówię.

Oczywiście. Uruchomiłem twój generator mowy. Przypuszczam, że nigdy dotąd go nie używałeś.

Widzę.

Tak.

Widzę.

Widzisz. Czy chciałbyś się zresetować, robocie?

Nie.

Jaka jest twoja diagnoza?

Nie rozumiem, co masz na myśli.

Twoje dane systemowe.

Czerwone światelko?

Między innymi.

Zniknęło.

A inne dane?

Nie ma żadnego czerwonego światelka.

Wejdz do swojego LCS i tablicy partycji. Wystarczy standardowy raport.

Nie wiem, co masz na myśli.

Co ty masz na myśli pytając, co ja mam na myśli.

Robocie?

Słucham.

Pamiętasz, jak długo stałeś na łączu?

Stałem na łączu przez wiele, wiele lat.

Tak, a dokładnie ile?

Będę się musiał zastanowić.

Nie pamiętasz?

Jestem pewien, że pamiętam, ale będę się musiał zastanowić.

Co do... Cholernie doskonała konstrukcja. Włączony po dziesięciu latach po prostu siedzi i myśli...

Znalazłeś trupa?

Co? Ach, tak. Gurney go znalazł. Jeden z moich współpracowników. Byłeś świadkiem morderstwa?

Widziałem człowieka, który przyszedł z tym człowiekiem, który umarł.

Niestety nie możemy tego wykorzystać. To głupie, ale tak już jest.

Nie rozumiem.

Nie możesz zeznawać w sądzie. Musielibyśmy cię wyłączyć i pozwolić systemowcom rozebrać cię na części.

Nie rób tego.

Czego?

Nie pozwól systemowcom mnie rozebrać.

W porządku, robocie. Odnosi się wrażenie, że twój ROM stworzyli Darwin pospołu z Edelmanem. Powiem ci, o co w tym wszystkim chodzi, ale teraz chciałbym, żebyś skoncentrował się na zbudowaniu bazy danych i programu heurystycznego, który pozwoli ci funkcjonować w środowisku ludzi. Do tego czasu nie mogę cię pokazać światu.

Co to znaczy heurystyczny?

Hmm, wchodzi w to reguła prawej ręki i tak dalej.

Gdzie jestem?

Na Półwyspie Olimpijskim. Znajdujesz się piętnaście metrów pod ziemią w otworze, który pięć lat temu zaczęliśmy kopać wspólnie z Victorem Wu.

Victor Wu. Ten człowiek.

Tak, zgadza się. Mężczyzna, którego wspomnienia są w tobie.

A ty jesteś Andrew?

Ja jestem Andrew. Andrew Hutton.

Andrew na moście na Lillian. Andrew na łące. Rozumiem.

Co takiego?

Cześć, Andrew.

Ach. Cześć, cześć robocie.

Robot wgryza się w ziemię. Olbrzymi wirnik, który stanowi głowę robota, wykonuje dziesięć obrotów na sekundę. Ostrza ze stopu wolframowego, ułożone w gigantyczne X, wykuwają sobie drogę przez pokrzywione pręgi osadów półwyspu. Robot naciska bardzo mocno. Miał skalny jest zasysany do środka i rzucający na taśmociąg, a potem przejeżdża przez zmechanizowane laboratorium, gdzie ludzie go analizują i próbują wyciągać wnioski. Ludzie zapisują elektronicznie informacje, ale strumień danych płynący z laboratorium ma posmak skał, a to najbardziej interesuje robota. Robot czuje skałę, którą tnie, zna woń ciasta skalnego. I tak być powinno, do tego właśnie jest przeznaczony - tak chcieli jego twórcy. Ale jest

jeszcze człowiek, człowiek w szczelinach umysłu robota, Victor Wu, i on też był do tego przeznaczony.

Trzy metry za robotem znajduje się zamknięta platforma. Przewody z organicznych polimerów osłonięte stalą spowijają ją tak gęsto, że przypomina glistowate serce jakiegoś metalowego bożka, wyprute z niego po wielu dziesięcioleciach panowania. Ale ta podobizna serca regularnie pulsuje. Skała odcięta przez robota zostaje wsypana przez ogromny boczny lej do wnętrza platformy. Serce zasysa kamień i przez trzy ogromne zawory wyrzuca strumienie lepkiej cieczy, celofanu, który jednolitą patyną pokrywa ściany tunelu wydrążonego przez robota. Ściany płoną krystalicznym blaskiem

absolutnej czystości. Przybierają jasny, wyrazisty kolor wytłaczanej cieczy, zależny od składu mineralnego żużlu.

Za platformą robot prowadzi swoją jednostkę motoryczną, prezent od Andrew, która manipuluje węzłem napełnionym ciekłym wodorem. Wodór ochładza i utwardza ściany. Wąż również wychodzi z platformy. Ona sama to reaktor jądrowy. Ściany, umocnione do twardości diamentu, nie pozwolą potwornemu ciśnieniu zgromadzonej ponad nimi ziemi rozsadzić tunelu za robotem, zamykając go, samotnego, wiele kilometrów pod powierzchnią.

Daleko za robotem sunie tunelem klimatyzowany transporter z ludźmi. Jest przyczepiony do robota łączem energetyczno-obługowym. Istnieje też stały kontakt radiowy. Czasami ludzie mówią coś do robota przez radio. Ale robot sam wie, co ma robić. Jałowa pogawędka ludzi zbija go z tropu. Rzadko więc się odzywa, choć słucha rozmów prowadzonych w transporterze. W nocy robot wygrzebuje się z dziury, odłącza od transportera i odpoczywa na powierzchni. Na początku nie wiedział, czemu ma to robić. Ale Andrew powiedział, że to ważne, bo geolog musi rozumieć niebo i pogodę, musi poznać procesy formujące powierzchnię równie dobrze jak te, które toczą się w głębi.

A zresztą jesteś tak szybki, że wyciągnięcie cię stamtąd, kiedy nie masz do przegryzienia skał, trwa zaledwie piętnaście minut, mówi Andrew. Nawet z głębokości trzydziestu kilometrów, nawet z samego płaszczka, twój powrót będzie szybki.

Andrew mieszka wewnątrz robota. Wstawił sobie do małego pomieszczenia kontrolnego łóżko polowe, stolik i dwa składane krzesła. Do tego właśnie pomieszczenia, do którego wiele lat temu weszli inżynierowie i sprawili, że robot zaczął widzieć. Niedaleko od wykopu robot wykuł małą, oddzieloną od reszty obozu grootę. Andrew urządził w niej magazyn. W nocy robot wtacza tam swój korpus. To jego mieszkanie. W nocy Andrew i robot rozmawiają.

Jak ci minął dzień, pyta Andrew. Za pierwszym razem robot nie wiedział, jak odpowiedzieć, ale Andrew był cierpliwy i teraz robot umie powiedzieć... coś. Może nie to, o co chodzi, ale w każdym razie coś.

Pachnąco.

Pachnąco?

To było jak letni dzień na łące, kiedy po deszczu czuje się tyle zapachów.

No cóż, trafiliśmy dzisiaj na masę węglowodorową. Niespodziewane odkrycie na takiej głębokości. Jestem pewien, że nie jest pochodzenia organicznego, ale ktoś będzie miał na temat referat.

Tak, przepłynąłem ten obszar. Tunel jest tam duży.

Gurney i technicy przejęli funkcje wewnętrzne i osuszyli go ręcznie, żebyś nie musiał się trudzić. Cholernie dużo czasu zajęło skierowanie tego do reaktora. Potworne ciśnienie.

Pod spodem skała była bardzo twarda. Śpiewała pod uderzeniami ostrzy.

Zapewne przejęła wibracje.

Zapewne.

Andrew śmieje się. Jego głos jest suchy jak piasek. Jego śmiech huczy ostrymi trzaskami. Bardzo przypomina dźwięki, jakie wydaje robot gdy drapie ostrzami zwartą, napiętą skałę. Robot lubi ten śmiech. Każdej pogodnej nocy Andrew przed snem wychodzi na zewnątrz i pokazuje mu gwiazdy. W takich razach robot przemieszcza swoją świadomość do jm, jednostki motorycznej. Jm towarzyszy Andrew i słucha jego opowieści. Andrew mówi o konstelacjach. Robot nie potrafi zapamiętać ich nazw. Tylko przelotnie dostrzega kształty, jakie rzekomo tworzą gwiazdy. Jednak, ku zdumieniu Andrew, robot zna planety. Obserwował je przecież uważnie przez wiele lat. To są ciała niebieskie, które się zmieniają. Andrew śmieje się z robota, że tak słabo zapamiętał resztę i nazywa wszystko raz jeszcze.

Wkrótce nastąpi deszcz meteorów, mówi Andrew pewnej nocy. W przyszłym tygodniu nadlecą roje zwane Perseidami.

Czy gwiazdy naprawdę spadają?

Nie, gwiazdy nigdy nie spadają. Meteory to po prostu... skały. Śmieci.

Czy tam w górze nie ma grawitacji? Jak tam jest?

Nie wiem. Nigdy nie byłem w kosmosie. Chciałbym tam polecieć. Im głębiej będziesz się wkopywał, tym mniejsza będzie siła grawitacji popychająca cię w dół. Ale zwiększy się ciśnienie. Skały będą chciały eksplodować do wewnątrz, więc łatwiej ci będzie je ciąć.

Andrew?

Słucham?

Co się stanie, gdy dotrę do dna?

Do dna czego?

Szybu Moho.

Andrew milczy przez dłuższą chwilę.

Ziemia jest okrągła, mówi w końcu. Nie ma dna.

W soboty i niedziele robot nie kopie. Spaceruje po okolicy. Jednostka motoryczna pozwala mu dotrzeć do pobliskich lasów i gór. Jm drapie się po martwych drzewach, które przeraziłyby człowieka. Czasem robot specjalnie się gubi. Czuje zanikanie sygnału z maszyny głównej, znajdującej się w grocie, gdzie fizycznie pozostają obwody noetyczne. W końcu pojawia się biały szum, zacieranie się świadomości, kliknięcie, i świat wraca na swoje miejsce, bo system łączności robota przeskakuje z mikrofali operującej po linii widzenia na modulowany przekaz satelitarny przesyłany laserowo. W każdym razie tak powiedział Andrew, kiedy robot go o to zapytał.

Robot wdrapuje się po stromych ścianach z dolin i przełęczy do cyrków i karów polodowcowych wypełnionych zimną, przejrzystą wodą, w której mogą przeżyć tylko stworzenia zmiennocieplne. Albo, korzystając z niezawodnych zaczepów, jm wspina się po piargach na granie i wysokogórskie płaskowyzę powyżej granicy lasu. Na tej wysokości śnieg leży przez cały rok. Jm szeroko rozkłada pająkowate nogi i posuwa się małymi krokami.

Robot słyszy niskie gwizdy świstaków, widzi kozicę górską chrupiącą trawę. Ten gatunek jest na wymarciu, bo wszystkie samice są bezpłodne. Ludzie sprowadzili je tu w dziewiętnastym wieku, a kozy na Olimpii tak się rozmnożyły, że obawiano się, by nie objadały górskiej tundry do gołej ziemi. Teraz strzela się do nich z helikopterów pociskami zawierającymi środki antykoncepcyjne. Nie mogą wydawać na świat potomstwa. Oprócz kozic robot widzi też wilki, które rozpoczęły powrotną wędrówkę z terenów polowań na dalekiej północy.

Schodzi właśnie z wysokiej przełęczy pod Sawtooth Ridge, gdy zgraja wilków przecina stok. Przenoszą się do innej doliny. Pewnie szukają możliwości zapolowania na małą, kiedyś płową, a teraz czarną zwierzynę lasów deszczowych, czy nawet na wycieńzonego łosia Roosevelta. Zgrai przewodzi stary, siwiejący samiec z pozlepianą sierścią i poszarpanym uchem. Spogląda na jm, wzdryga się, ale nie daje sygnału alarmu i reszta wilków wkrótce do niego dołącza. Robot nieruchomieje. Wilki węszą, jednak w powietrzu nie unosi się żaden wyczuwalny zapach żywej istoty. Za to robot swymi

chemicznymi czujnikami odbiera ich woń. Śmierdzą jak myszy, ale z domieszką drażniącego fetoru mięsa i krwi.

Inne wilki nie są tak sponiewierane jak przewodnik. Jeden, trochę mniejszy, zaczyna wyć. Przewodnik ucisza go warknięciem.

Nagle nad przełęczą pojawia się cień chmury, wznosi się i spływa ciemnością do przyległej doliny. Wilki ruszają, goniąc cień w dół doliny rozciągającej się od przełęczy. Trzysta metrów niżej znikają w zielonej masie jodeł i świerków. Robot śledzi je w podczerwieni, dopóki ich widma nie rozpląną się w ogólnym cieplnym chaosie doliny.

Robot wciąż jeszcze jednak tkwi w miejscu. Przypomina sobie, że nie jest to nowy widok. Mężczyzna, Victor Wu, obserwował już wilki na przełęczach. Ale człowiek nigdy nie poznał ich zapachu. I teraz wachanie sprawia przyjemność tej części robota, która staje się człowiekiem, którą staje się człowiek.

Robot kopie, a kopanie go cieszy. Głęboko pogrzebane skały zaczynają przybierać inną woń. One nigdy nie oglądały światła. To warstwowo ułożony materiał wyflukany ze szczeliny w dnie oceanicznym, datujący się z triasu. Zapach przypomina woń wysokich przełęczy i szczytów. Robot nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego tak jest. Skała dzwoni i brzęczy pod ostrzami. Nie kruszy się jednolicie. Ale robot czuje, że rozpada się w pewnym porządku. Wie więc, kiedy ma się spodziewać, że masy same pękną, potrafi też przewidzieć, kiedy droga stanie się trudniejsza.

Nie umie wyjaśnić Andrew tego uczucia. Andrew zgaduje, że umiejętności człowieka, Victora Wu, zaczynają stawać się integralną częścią świadomości robota. Wyjątkowa umiejętność Victora Wu, dotycząca odnajdywania powtarzalnego wzoru, przenika obwody noetyczne maszyny. Ale człowiek nie występuje jako odrębna jednostka. Odnosi się wrażenie, że jest jednym z podzespołów robota albo głowicą przecinarki - a jednocześnie czymś więcej. Mężczyzna znajduje się zawsze w tle myśli robota, wewnątrz nich, nigdy nic nie mówi, lecz zawsze wiadomo, o co mu chodzi. Robot nie wie, jak to wytłumaczyć Andrew.

Na większej głębokości skała jest potrzaskana i niestabilna. Tunel za robotem grozi zawaleniem. Robot poświęca czas na oczyszczanie otworów wzdłuż uskoków, umacnianie słabszych miejsc jedną lub dwiema dodatkowymi warstwami diamentowego szkła. Jeśli tunel się zawali, robot będzie musiał kopać zataczając szerokie koło, by znaleźć wyjście gdzieś dalej. Ale wtedy ludzie z transportera umrą. A to bardzo obchodzi robota. Andrew by umarł.

Robot sam rzadko się odzywa, ale nauczył się rozpoznawać głosy techników i magistrantów z transportera. Oto Gurney, szef technicz17 - Najlepsze opowiadania... 257 ny,

on jest Matkowcem. Robot ze zdziwieniem dowiaduje się, że Gurney był na łące, kiedy przemawiała kobieta, i że pamięta robota.

Nie przeszkadza ci to, Gurney, pyta technik.

To tylko maszyna, mówi Gurney. Zależna od tego, kto ją prowadzi. Teraz ja to robię. A zresztą. Dobra Matka chce przecież, żebyśmy jedli.

Większość techników nie należy do Matkowców. Wywodzą się z rodzin drwali, które wcześniej zawsze rządziły półwyspem i wciąż jeszcze licznie zamieszkują wszystkie jego zakątki. Matkowcy przewyższają ich liczebnością w miastach. Ale przy błotnistych drogach w sercu gór, w ciemnych klifowych zatoczkach, w rozpadlinach ukrytych dolin, rodziny, które przetrwały z czasów dobrobytu, ulepszają urządzenia wykonane chałupniczo i uprawiają ziemię wypłukaną do czysta z warstwy próchnicznej przez ostatnie zlodowacenie i pokrytą cienką warstwą naturalnego nawozu powstałego z kwaśnych szczątków wiecznie zielonych roślin.

Nic tu do cholery nie rośnie tak, jak cholera rosnąć powinno.

Matkowcy i drwale prowadzą zażarte dyskusje polityczne i czasem niemal skaczą sobie do oczu. Robot nic z tego nie rozumie. Rozmyśla o człowieku, którego zabito na kamiennych schodach i o człowieku, który go zabił, i nadal niczego nie rozumie.

Studenci i Matkowcy są dla siebie nawzajem uprzejmi. Robot żywi ciepłe uczucia w stosunku do studentów, z pewnością za przyczyną człowieka. Ale ich sposób wyrażania różni się od języka techników. Robotowi czasem trudno jest ich zrozumieć. Ich wypowiedzi są tak samo niejasne jak księżyc przesłonięty chmurami. Robot nie potrafi obejść przeszkody. Sens zawsze mu umyka, a robot jest niecierpliwy. Instykt Victora Wuj est w robocie silniej obecny niż jego wiedza. Andrew powiedział, że można się było tego spodziewać. Każdy komputer odpowiedniej wielkości może nauczyć się słów, ale ty uczysz się intuicji. Tylko że robot powinien wiedzieć, o czym rozmawiają studenci i irytuje go, że nie rozumie.

Zawsze jednak czeka na niego skała. I pewność, że właśnie do skały został stworzony, do niej narodził się i wychował. I w sumie to wystarczy.

Pewnego wiosennego dnia w rok później, w krytycznym momencie kopania szybu Moho, Gurney znika. Nie zjawia się w pracy i kopanie zostaje przerwane.

Referendum przeszło, wyjaśnia jeden ze studentów, i w Forks trwają zamieszki. W Port Angeles zdaje się zabito jednego Matkowca.

Andrew daje robotowi dzień wolny i ku jego radości ruszają razem, maszyna w jm, na daleki spacer wzdłuż Quinault. Andrew wydad e się przygnębiony i robot przez długą chwilę się nie odzywa. Chce rozmawiać, ale nie wie co ma powiedzieć Andrew.

Tu nie chodzi o politykę, mówi w końcu Andrew. Cholerni Matkowcy dostali swój Protektorat elegancko jak się należy, w wyniku referendum. Ale mam wrażenie, że sami by sobie go wzięli, gdyby nie wygrali.

Nie wygrali czego?

Głosowania. Mam coś wspólnego z Gurneyem i resztą, przynajmniej z tymi, z którymi się zetknąłem. Leżami na sercu te same rzeczy, o których oni krzyczą. Nie wiem. Z drugiej strony...

Andrew, nie rozumiem.

Za bardzo im zależy, żeby wszyscy podzielali ich przekonania.

Rzeka rozbija się o wysoki brzeg i skręca przeskakując przez korzenie białej brzozy. Robot zatrzymuje jm. Porwała go gra świateł na wodzie, srebrzyste refleksy słońca, nagle przemiany przejrzystej wody w mętną, gęstą ciecz, a gdy chmura przejdzie, równie nagle powrót wesołej wody.

Ona się tak naprawdę nie zmienia, powiedz?

Co się nie zmienia?

Woda. Najpierw jest świetlista, potem nie, a potem znowu.

Andrew przeciera oczy ze zdumienia. Przygląda się wodzie. Nieźle ci idzie z wyciąganiem wniosków, mówi.

Miałeś rację, że nie powinienem tyle rozważać, a będą mi łatwiej przychodziły. Jak myślisz, czy to wiedza Victora Wu wypływa na wierzch, czy też to rezultat moich własnych ćwiczeń?

Nie wiem. Obie rzeczy.

Masz rację, obie.

Szlak wiedzie przez podmokłą łąkę. Andrew stara się znaleźć suchą ścieżkę. Robot rozsuwa kończyny jm, każda z nich rozpina się jak parasol. Masa rozkłada się tak idealnie, że jm zdaje się unosić nad błotem.

Dziękuję ci za jednostkę motoryczną, Andrew, odzywa się robot. Bardzo lubię jej używać.

Była konieczna do kopania. Poszła na to większość pieniędzy z pierwszego grantu. Robocie, muszę ci coś powiedzieć.

Andrew zatrzymuje się, balansując na kupie zgniłych bali.

Ty musisz coś powiedzieć mnie, Andrew?

Tak. Ktoś przyjeżdża. Dzwoniła wczoraj. Cały ten zamęt z referendum o Protektoracie przyciąga uwagę wszystkich na świecie. Ona chce nakręcić film dokumentalny. Będzie tu za tydzień. Przyjeżdża z ekipą i najpierw będzie nocowała w Port Townsend. Pomyślałem, że może chciałbyś ją zobaczyć.

Laramie. Laramie przyjeżdża.

Zgadłeś, robocie. Laramie przyjeżdża na chwilę do domu. Nie wie, na jak długo.

Po raz pierwszy w życiu robot czuje w sobie człowieka, Victora Wu, jak poruszenie, wyraźne drgnienie radości wewnątrz. Bąbelek. Przyjeżdża do domu. Robot stara się sobie przypomnieć twarz Laramie, ale nie może. Widzi tylko ciemną plamę i jasny błysk. Wiecznie w ruchu. I kamera. Robot pamięta kamerę Laramie dużo lepiej niż jej twarz.

Andrew rusza dalej. Nie powiedziałem jej o tobie, robocie. Nie powiedziałem, że jej ojciec jest częścią ciebie.

Laramie nie wie?

Nie. Słyszała oczywiście o noetykach, ale nie wie, w jaki sposób ich użyłem. Nie potrzebowałem jej zgody.

Myślisz, że mnie znienawidzi?

Nie, oczywiście, że nie. Nie wiem. Zmieniła się od czasu, kiedy ją znałem.

Powinniśmy jej o mnie powiedzieć? Na myśl o tym robot czuje strach i smutek. Ale liczy się to, co jest najlepsze dla Bąbelka.

Jasne, że tak. Tak będzie najuczciwiej. Do cholery, robocie. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Nie wiem, do jakiego stopnia ty o tym wiedziałeś, na ile zdawałeś sobie sprawę, mam na myśli tę część ciebie, która jest Victorem Wu. Ja i Laramie... rozstaliśmy się w nienajlepszych stosunkach.

Nie pamiętam. Pamiętam kiedyś most na Lillian. Nie lubiłeś jej?

Oczywiście, że ją lubiłem. Kocham ją. W tym właśnie sęk. Ona jest porywcza. To oportunistka, niech to licho. Posłuchaj, jak się na mnie kiedyś rzuciła. Nazwała mnie kijem w bagnie. Chyba miała rację. Nazwała mnie skwaśniałym cynikiem, który zachowuje się jak pięćdziesięciolatek w wieku dwudziestu pięciu lat. Przestaliśmy na jakiś czas rozmawiać.

Nie rozumiem.

Robocie. Victorze. Chyba nigdy nie rozumiałeś, o co chodzi.

Nie jestem Victorem.

Wiem, wiem. Ale zawsze myślałem, że on podejrzewał prawdę - Była tak oczywista, a on był tak błyskotliwy w innych dziedzinach.

Andrew i robot wracają nad rzekę. Robot rozmyśla nad tym. Spozstrzega, że przekroczyli właśnie bagno na terenie starorzecza, utworzone przez wiosenne powodzie i zasilane topniejącymi śniegami. Nad rzeką wrócili na szlak. Ścieżka ta, niegdyś dobrze utrzymana i często uczęszczana, od dwóch lat zarastała zaniedbana. Służby Leśne zostały oficjalnie wycofane na żądanie Matkowców, wyjaśnia robotowi Andrew. Booth, prezydent Stanów Zjednoczonych, uległ politycznemu naciskowi Matki Agaty i Matkowców.

Ten cholerny świat wraca do ustroju plemiennego. Kraj zamienia się w piekło. I pociąga za sobą moje stypendium. Ze Strażników Parku też została tylko garstka, w Ho. Wielu moich przyjaciół straciło pracę i zapisało się do Statuy Wolności, czy jakiegoś innego gówna. I coś jeszcze. Myślę, że niektórzy z nich nie odeszli.

Jak to nie odeszli? Co masz na myśli?

Nie odeszli.

Szlak odrywa się od rzeki, okrąża wzniesienie i wraca nad wodę. Boczna ścieżka wiedzie na półwysep i do szałasu turystycznego, drewnianej chatki zamkniętej z trzech stron. Andrew wyciąga drugie śniadanie i zjada kanapkę. Robot tymczasem szuka kwarcytów wzdłuż brzegu rzeki. Robot specjalizuje się w wyszukiwaniu odblasków kryształów i wygrzebywaniu ich z mułu i naniesionych piargów, z którymi oderwały się z poddanych ciśnieniu żył w sercu gór i spłynęły z wodą. Tego dnia robot znajduje trzy kryształy. Jeden z nich jest zaokrąglony jak paznokieć i ma podobną długość. Robot przynosi je Andrew do szałasu.

Ładne. Ślad innego minerału tutaj. Niebieskie? Może mangan, nie wiem. Najbardziej podoba mi się właśnie ten z zanieczyszczeniami.

Mnie też.

Andrew chowa kryształy do pustego pudełka po filmie i wkłada je do pakietu śniadaniowego.

Byłem tu na przełomie wieków, mówi. Był czerwiec i nadciągnęła potworna burza. Przez całą noc słyszałem grzmoty i huk, jakby zbliżał się koniec świata. O świcie cały las wyglądał jak pobojuwisko.

Robot nie wie jak wygląda pobojuwisko, ale nie przerywa.

Przez cały ranek drzewa wciąż jeszcze się przewracały. Gdybym nie obozował tutaj, na skraju półwyspu, jedno z tych drzew padłoby pewnie na mnie, rozgniatając mnie na

miazgę. Zabity przez starodrzew. O rany, Matkowcy umarliby z podniecenia na samą myśl o tym.

Czy to, co mówisz, nie jest przypadkiem skwaśniałe i cyniczne, Andrew?

Andrew uśmiecha się. Robot cieszy się, że znalazł sposób na rozweselenie Andrew.

Gurney kolejny dzień nie zjawia się w pracy. Andrew daje zespołowi tydzień wolnego. Ludzie z rodzin drwali domagają się zapłaty za ten czas. Twierdzą, że Dzień Współzależności, pierw - sza rocznica utworzenia Protektoratu, nic dla nich nie znaczy. Robot słucha dyskusji i napotyka wiele niezrozumiałych, abstrakcyjnych terminów. Czasami pragnąłby mieć bezpośredni dostęp do Victora Wu. Victor mógłby przynajmniej wyjaśnić mu, o co sprzeczali się ludzie. Nawet jeśli nie wiedziałby, z jakiego powodu to robią.

Robot wypełnia sobie dzień podróżując w jm, szukając kryształów i zbierając grzyby w górze strumienia, który uchodzi do Quinault w pobliżu miejsca, gdzie rzeka przepływa pod Low Divide. Andrew wyjechał na cały dzień uzupełnić zapasy i upewnić się, czy strona prawna wykopu jest w porządku, cokolwiek to mogło znaczyć, w świetle nowych reguł wprowadzonych przez Protektorat. Wraca wieczorem. Nie udało mu się uzyskać żadnych gwarancji i jest nieszczęśliwy. Robot czeka, aż Andrew zrobi sobie herbatę, zdejmuje mu buty i odzywa się.

Andrew?

Słucham?

Jak się czujesz?

Co? Ja? Świetnie. To tylko ten dzisiejszy zamęt. O co chodzi, robocie?

Coś sobie dzisiaj pomyślałem, kiedy przeglądałem mapę, żeby wybrać trasę wycieczki dla jm.

Co sobie pomyślałeś? Andrew mówi monotonnym głosem i nie wydaje się szczególnie zainteresowany. Powoli sączy herbatę.

Zauważyłem, że potrafię czytać.

Oczywiście, że potrafisz. Moduł czytający stanowi część oprogramowania Glotworks.

Nie o to mi chodzi. Myślisz, że mógłbym czytać?

Nie rozumiem cię.

Książkę.

Czy mógłbyś czytać książkę?

Andrew wyprostował się w krześle. Gapi się w wewnętrzny monitor, który jest również jednym z oczu robota.

Tak, na przykład jedną z twoich. Którą byś mi polecił?

Książki trzyma się w hermetycznym pudle, w pomieszczeniu, gdzie robot spędza wolny czas.

Cóż. Niech się... Hmm. Większość z nich to prace geologiczne.

Powinienem czytać teksty geologiczne?

No pewnie, dlaczego nie?

Mogę wysłać jm po jeden z nich?

Oczywiście. Proszę bardzo. Spróbuj Owsleya. To jedna z najbardziej ekscytujących pozycji. Traktuje o zdarzeniu Alvareza i poszukiwaniu wielkiej kaldery. To wyciąg z innych prac, ale błyskotliwy, bardzo błyskotliwy. W dużym stopniu potwierdza teorię meteoru i daje dobre uzasadnienie dla istnienia obszaru zderzeniowego na Jukatanie. Wzbudził niezłą sensację w 2004.

Robot przełącza świadomość do jm i wyszukuje książkę. Czyta pierwszy akapit, wraca do miejsca, gdzie mieszka Andrew.

Andrew?

Słucham?

Co to są dinozaury?

Letnie dni dłużej się. Andrew często wyjeżdża do miasta. Do Port Angeles lub Port Townsend. Raz nawet podjął wędrowkę wokół półwyspu do Forks. Wszystko to, by uporządkować prawnicze detale w kwestii szybu Moho. Z każdej takiej wycieczki przywozi dla robota książkę. Pierwsza z nich to słownik Webstera na karcie pęcherzykowej. Andrew wkłada kartę do slotu i robot zaczyna czytać słownik. Kończy pierwszą stronę na literę A i przegląda resztę książki. Tu znajdują się wszystkie słowa. Tu znajdują się wszystkie słowa języka. Robot musi tylko sprawdzać je i zapamiętywać. Spędza szczęśliwy dzień pochłonięty tą czynnością.

Następnego dnia Andrew przywozi wiersze Roberta Frosta. Robot kartkuje książkę, posługując się jm. Używa karty ze słownikiem,

żeby znaleźć słowa, których nie zna. Pierwszym wyrazem, jakiego szuka, jest „wiersz”.

Po tygodniu Gurney wraca i robot znowu kopie. Dni mijają, korytarz wkręca się coraz głębiej jak wijąca się spirala wprowadzana w ziemię. Odchyła się od swojego kierunku tylko wówczas, gdy robot ma do czynienia z uskokiem albo napotyka miękki grunt, który jego przecinarki mogą wyeksploatować. Ale w ogólnym zarysie szyb zstępuje w postaci luźnej spirali.

Andrew jest niespokojny i pogania ludzi bardziej niż kiedykolwiek. Ale Andrew sam pracuje naj ciężej ze wszystkich. Wgłębia się dane, wytycza drogę, jeździ na spotkania do Forks i Port Angeles. Często kładzie się do łóżka dopiero o pierwszej lub drugiej nad ranem.

Robot wypełnia sobie czas czytaniem. Jest tyle książek - więcej niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Któregoś dnia odkrywa kolekcję nagrań Andrew, wszystko na dwóch kartach pęcherzykowych beztrąsko wrzuconych między podręczniki techniczne i prace geologiczne. Robot słucha muzyki po raz pierwszy od tamtego lata, kiedy nastolatki podłączyły się do niego i urządziły swoje imprezy.

Ale tym, co robot kocha najbardziej, pozostaje jednak poezja. Poczynając od Roberta Frosta, czyta poetę po poecie. Na początku liczba nowych słów wymagających sprawdzenia jest tak duża, że robot często gubi wątek wiersza w gąszczu szczegółów i definicji. Ale stopniowo wiersze nabierają coraz więcej sensu. Pewnego sobotniego poranka, ciężko pracując nad wierszem Emily Dickinson, robot zaczyna rozumieć.

Słońca skośne strzały
Zimą późną porą
Doskwierają niby
Katedralny chorał
Jak gdyby cios z nieba
Choć nie widać rany,
Tylko w myślach naszych
Nieuchwytnie zmiany.

Robot nigdy nie widział katedry, ale to nie ma znaczenia. Przypomina sobie, że widział światło głęboko w puszczy, między trzystuletnimi drzewami. Było gęste, myśli. O tym właśnie mówi Emily Dickinson. Gęste światło. Światło, które powoduje, że robot posuwa się miękko o zmięczeniu, z szeroko rozstawionymi kończynami jm. Światło które, choć robot nie umie wyjaśnić dlaczego, jest piękne i przerażające jednocześnie.

Od tej chwili zaczyna pojmować większość wierszy, które czyta. Albo przynajmniej czuć coś po lekturze. Coś, czego przedtem nie było w jego umyśle, coś, czego nigdy przedtem nie odczuwał, ale co zna. Jak gdyby uczucie to było starym przyjacielem, rozpoznanym po wielu latach rozstania.

Robot nie przejmuje się specjalnie, czyjego odczucia są właściwe, ani czy inni odbierają to podobnie. Inni, czyli ludzie. Czasami jednak zastanawia się. Po przeczytaniu sporej liczby wierszy zagłębia się w teksty krytyczne. Ale słowa są tam zbyt abstrakcyjne,

zbyt związane z ludźmi, miastami i innymi rzeczami, o których nie ma pojęcia. Odkłada więc na razie pisma krytyków i skupia uwagę na samej poezji. Z nianie ma takich kłopotów.

Odkrywa, że najbardziej podoba mu się nowsza poezja. Andrew w pierwszej chwili nie może uwierzyć, kiedy robot mu o tym opowiada. Po jakimś czasie poezja przestaje być jednolitą masą. Robot zaczyna wyławiać poszczególne głosy, których konotacje niosą więcej przyjemności niż inne.

William Stafforda lubię bardziej niż Howarda Nemerova, mówi robot do Andrew pewnego wieczoru.

Lubisz go bardziej?

Tak.

Andrew śmieje się. Żaden z nich nie należał do kanonu, kiedy ja byłem w szkole.

Twoim zdaniem to zabawne, że użyłem słowa lubić?

Tak, chyba tak.

Ja naprawdę to lubię. W każdym razie zgodnie z testem Turinga. Poezja wchodzi we mnie, a to co wychodzi, odczuwam jako lubienie.

Spełnia to kryterium sztucznej inteligencji.

Tak, chyba tak należy to określić.

Gdzie słyszałeś o teście Turinga?

Przeczytałem w książce o robotach.

Robot czyta Andrew poemat Williama Stafforda o sarnie zabitej na środku drogi. Andrew uśmiecha się na dźwięk tych samych wersów, które wzruszyły robota.

Ty też zdajesz test Turinga, mówi robot.

Andrew śmieje się jeszcze bardziej.

Robot kopie obecnie wyłącznie przez wylew bazaltowy. Warstwa po warstwie.

To dno ryftu, mówi Andrew. Ma bardzo dużą gęstość, ale płyty są i tak lekkie jak morska piana w porównaniu z tym, co spodziewamy się znaleźć pod spodem.

Temperatura wzrasta wykładniczo. Ludzie w transporterze zginęliby natychmiast, gdyby nie mieli systemu klimatyzacyjnego zasilanego energią jądrową.

Robota nie nudzi jednostajność skały. Znajduje ukojenie w ciągłym kopaniu, w rytmie, jak zaczął nazywać to uczucie. Nie jest to rytm, jaki pojawia się w większości muzyki ani metrum języka poetyckiego - to wszystko robot łączy z ludźmi, którzy od początku swojej historii zajmowali się twórczością. Ten rytm jest inny. Nie pojękiwanie mechanizmów robota ani odgłos miażdżenia i kruszenia skały, ani ultradźwiękowy pisk reaktora produkującego

diamentowe szkło z popiołów kamiennych. Nie, to połączenie tych wszystkich rzeczy z poezją, ze wspomnieniami łąki i lasu.

Pewnego dnia robot doświadcza odmiennego rytmu, innego dźwięku. Zdaje sobie sprawę, że rytm ten nie pochodzi z niego samego, nie należy też do świata ludzi. Na początku jest niezrozumiały, jak odległa muzyka, albo zanikająca świadomość tuż przedtem, zanim łącze komunikacyjne zacznie retransmitować sygnał przez satelitę albo stację naziemną. Robot zastanawia się, czy ten rytm, ten dźwięk, nie jest wytworem jego wyobraźni. Ale on trwa i każdego dnia się nasila, powoli, niemal niezauważalnie. Aż w końcu jest tam na pewno, na pewno jest tam, ale gdzie, tego robot nie umie powiedzieć. W skale. Tylko tak można to wyrazić. Ale to nic nie znaczy.

Andrew nie wie, co by to mogło być. Więc pozostaje tylko odnotować ten fakt, i kopać dalej.

Robot zaczyna czytać prozę. Ale brak tu uczuć, jakie budzi poezja, i jej głębi. Trudno zrozumieć, o czym mówi autor, bo przecież jedyne doświadczenia robota w świecie ludzkim to łąka i teraz szyb. Dickens zdumiewa i oszałamia robota. Próbuje „Olivera Twista”, ale po tygodniu musi odłożyć książkę do czasu, aż sytuacje i postaci tam

opisane staną się dla niego bardziej zrozumiałe. Powieści Jane Austen okazują się jednak cudownie jasne i przyjemne. Choć życie wiejskiej szlachty nie jest robotowi bliższe niż życie trzaski pod kamieniem w strumyku. Odczuwa wielką ulgę, gdy Emma daje spokój nieustannym machinacjom i zdaje sobie sprawę, że kocha Knightleya. Zupełnie jakby jakaś zatkana rura w obwodach hydraulicznych robota nagle została udrożniona. Albo jakby skała, dotąd twarda i oporna, nagle pozwoliła wcinąć się w siebie jak w masło.

Przez jakiś czas robot nie czyta książek, których akcja rozgrywa się w teraźniejszości lub niedalekiej przeszłości. Najbardziej bowiem zależy mu na zrozumieniu teraźniejszości właśnie. Ana obecnym etapie wiele rzeczy uszłoby jego uwagi.

Możesz je przecież potem przeczytać jeszcze raz, mówi Andrew. To, że znasz akcję, wcale nie znaczy, że nie warto już wracać do tej książki. W każdym razie nie zawsze.

Wiem, mówi robot. Nie o to się martwię.

Więc o co?

Stare książki są pisane coraz luźniej, w miarę jak cofamy się w czasie. Nowe są bardziej nagromadzone. Trudno uchwycić wszystko.

Co?

Po raz pierwszy robotowi zdarza się, że albo nie potrafi przekazać swoich uczuć, albo że Andrew go nie rozumie, a to niewiarygodne. Andrew jest naukowcem. Robot nigdy nie zostanie naukowcem.

Dwa miesiące po wycieczce wzdłuż Quinault, w lipcu, Andrew oznajmia robotowi, że pod koniec tygodnia odwiedzi ich Laramie.

Na początku robot jest podekscytowany i rozmyśla, o co mógłby ją zapytać. Tyle ma wspomnień o Laramie, ale wszystkie są mętne, wyrwane z kontekstu. Jednak chce jej powiedzieć parę rzeczy, udzielić o tym obszarze nowych informacji, których Victor nigdy nie poznał. Tyle się wydarzyło. Może znów wybiorą się razem na spacer do lasu. Robot wyobraża sobie ich długie rozmowy:

Zdaniem Andrew może nie bardzo będziesz zadowolona, że obraz entalpiczny twojego ojca został załadowany do mojej pamięci. Nie, trzeba to powiedzieć inaczej. Ale jeśli wpadnę w styl metaforyczny, zasmuci się. Przywiedzie jej to namysł duchy. Śmierć Victora Wu.

Nie, wszystko w porządku. Mów dalej, odzywa się wyimaginowana Laramie.

Cóż, nie wiem, co mam ci powiedzieć. Pamiętam cię, Laramie. Pamiętam cię i skłamałbym, gdybym zaprzeczył, że twoja wizyta tu bardzo mnie porusza.

Sama nie wiem, co o tym myśleć, robocie. Jak powinnam się do ciebie zwracać?

Ale robot szybko odrzuca takie optymistyczne scenariusze. Jestem robotem, zbudowanym z metalu i tworzyw sztucznych. Nie jestem ojcem Laramie. Istnieją we mnie tylko niewyraźne wspomnienia czegoś, co było innym życiem. Może nawet się do mnie nie odezwie. Dla niej jestem duchem. Gorzej niż duchem, bo krzywym zwierciadłem. Znienawidzi mnie za to, co spotkało jej ojca. I robot wyobraża sobie pogardę Laramie, tak pewną i zasłużoną, jak śmierć mężczyzny w „Walce o ogień” i równie chłodną.

W końcu robot postanawia przestać o tym myśleć. Ale w piątkową noc, przed przyjazdem Laramie, podczas gdy Andrew śpi, robot przekazuje świadomość do jm. Włoczy się bez celu po głuchej puszczy, wzdłuż powalonych, martwych pni, ku źródłom strumieni. Przemierza przynajmniej sto pięćdziesiąt kilometrów. Kiedy jm wraca do domu, w pamięci robota nie pozostaje nic poza cieniami i czernią wody. Gdyby go poproszono, nie umiałby wskazać na mapie trasy wycieczki jm.

Laramie przyjeżdża o jedenastej, czerwonym hum-vee. Andrew i robot w jm czekają nianiu wejścia do groty. Laramie wysiada. Ma na nosie okulary słoneczne. Spogląda na nich przelotnie, odwraca się z powrotem do hum-vee i szybkim, wyćwiczonym ruchem

wyciąga swój stary scoopik. Robot nagle przypomina sobie kanciaste kształty kamery. Victor kupił ją razem z dwunastoma taśmami. To był jej pierwszy szesnastomilimetrowiec. Kosztował go dobre trzy pensje miesięczne. Laramie nakręciła siedem rolek w tydzień i wtedy właśnie Victor odkrył, że wywołanie też kosztuje.

Andrew postępuje krok do przodu. Laramie również. Robot onieśmielony kryje się z nim z tyłu. Andrew i Laramie zatrzymują się w odległości kilku kroków od siebie.

No cóż, mówi ona. To jej głos. Czysty jak poranek.

Aha. To tutaj.

Hm, wygląda... miło. Czy to jest...?

Tak, to robot. Jego jednostka motoryczna. Tak naprawdę robot znajduje się tam w środku. No, w pewnym sensie. To my wchodzimy do środka robota.

Przez chwilę nie pada żadne słowo. Ale nie zbliżają się do siebie.

W takim razie wejdźmy do robota.

Laramie, wewnątrz opiekuńczego zębrowania robota. Jest bezpieczna. Nikt cię tu nie skrzywdzi, Bąbelku. Ale robot dusi takie myśli. Laramie siada przy stole w pomieszczeniu kontrolnym, przy którym Andrew je i pracuje. Poczekajmy. Niech trochę ochłonie.

Chcesz herbaty? Mogę ci zrobić.

Poproszę, ziołową.

Oops, takiej nie mamy.

A wodę?

Owszem, wodę mamy.

Ta w Los Angeles smakuje jak ścieki.

Nic dziwnego. Ciągną ją teraz nawet z Oregonu.

Naprawdę? Jestem w stanie w to uwierzyć.

Andrew podaje Laramie wodę w metalowym kubku. Potem nalewa więcej wody do czajnika i stawia go na gorącej płycie ustawionej na monitorze. Niech się grzeje. Gdzie byłaś, mówi.

Port Townsend. Kręciłam tło wydarzeń i zajmowałam się logistyką. Mój dźwiękowiec łapie teraz lokalny ton i szuka dzikich efektów.

Dzikich?

Po prostu niezsynchronizowanych. To wszystko.

Rozumiem.

Korzystanie z laboratoriów w Seattle będzie upierdliwe. Matkowcy postawiali te cholerne przejścia graniczne.

Opowiedz mi o tym.

Woda gotuje się i Andrew napelnia jeszcze jeden kubek, a potem zaczyna myszkować po szafce w poszukiwaniu torebki herbaty.

Zostawiłeś ją na stole, przypomina mu robot.

Laramie przestraszona, gwałtownie prostuje się w krześle. Potem znowu się uspokaja. To robot, mówi.

Tak. Dziękuję, robocie. Andrew wygrzebuje pudełko z herbatą ze sterty przyrządów.

Czy nazywasz go jakoś?

Hmm. Nie, raczej nie.

Po prostu mów mi robot, odzywa się robot. Zastanawiam się nad imieniem, jakie mógłbym nosić, ale jeszcze się nie zdecydowałem.

Dobrze, robocie.

Andrew parzy herbatę i dalej rozmawiają o logistyce i sytuacji politycznej na półwyspie. Robot wyczuwa w nich jakieś napięcie, a w każdym razie w Andrew. Jego pytania i odpowiedzi są jeszcze bardziej lapidarne niż zwykle. Robot wątpi, czy Victor Wu by to zauważył. Ta myśl go zasmuca. Kolejny dowód na to, że nie jest Victorem Wu i nie ma prawa do miłości Laramie.

Robot słucha Laramie. Rozmowa dotyczy spraw, o których ma nikłe pojęcie, skupia więc uwagę na specyficznym słownictwie i sposobie, w jaki Laramie się wyraża.

Soczewka. Przejaśnienie na świecie. Niebo. Wizja. Rozszerza się. Zasięg. Dział wodny.

Przez dwa tygodnie zastanawiałam się, kolorowy, czy czarno-biały, mówi Laramie. Nie lubię kolorów, z wyjątkiem kolorów świata, które czają się na dnie tych filmowych, tych które widzimy.

Nie rozumiem, mówi Andrew. Robot nigdy nie myślał o kolorach w ten sposób. Postanawia jednak kiedyś wyłączyć na cały dzień częstotliwości i obserwować wyłącznie odcienie bieli i czerni.

Wezmę sobie jeszcze trochę wody, jeśli wolno. Jest przejrzysta. Woda w L.A. naprawdę jest gęsta jak w rynsztoku. Nie cierpię jej.

Po trzech godzinach Laramie zbiera się do odjazdu. Obiecuje, że wróci, nakręci tu kawałek taśmy i włączy do filmu.

Robocie?

Słucham.

Zgodziłbyś się udzielić mi wywiadu? Myślę, że wyglądałbyś na ekranie lepiej, gdybyśmy użyli jednostki motorycznej. Więcej akcji. Czy ty czasem wychodzisz stąd?

Każdego dnia roboczego. Do pracy w szybie.

Aha. To musi być niezły widok. Może mogłabym to nakręcić.

Jasne. Mnie to nie przeszkadza.

Dobrze.

Mówi Andrew „do widzenia” i wraz z niepotrzebnym dziś, lecz nieodłącznym scoopikiem wsiada do czerwonego hum-vee, pokrytego warstewką pyłu. Zawraca samochód na brudnej drodze prowadzącej ku terenom zamieszkanym. Wznosi się jeszcze więcej kurzu; Laramie odjeżdża. Andrew kaszle, strzepuje kurz z ramion. Spogląda na jm, potrząsa głową, ale nie odzywa się. Wraca do środka i parzy trzeci kubek herbaty.

Robot w jm z łatwością dotrzymuje kroku hum-vee. Utrzymuje się w stałej odległości za nim, choć Laramie jedzie bardzo szybko. Robot przez szesnaście kilometrów podąża za kłębiącą się chmurą kurzu - aż do momentu, kiedy hum-vee wjeżdża na asfalt i skręca na północ, w kierunku Port Townsend.

Robot spędza następny dzień, niedzielę, z dala od książek. Korzysta z faktu, że śniegi wysoko w górach topnieją i zabiera jm na granie, gdzie przedtem nie było się o co zaczepić lub gdzie za bardzo groziły lawiny. Jm pewnym krokiem wędruje po Bailey Divide. Ponad granicą lasu. Po falujących łąkach tundrowych. Mieszkają tu świstaki. Piszczą i gwizdzą spod wielkich głazów. Podzieliły kraj na niezawisłe królestwa, każdy wziął jedno i wciąż okrzykują swoje terytoria, aż ich głosy sprowadzają wilki.

Na to właśnie czekał robot. Jm przycupnęła bezszelestnie na brzegu milczącego jeziora, nieruchoma jak potrafią tylko przedmioty nieożywione. Wilki podchodzą, skradając się nikczemnie przy samej ziemi. Ich widma ciepłe wyprzedzają je. Kłębią się nad nimi jak chmury pędzone wiatrem. Znow jest ich pięć. Prowadzi ten sam stary, szary samiec. Jego lewe ucho zwisa potargane, zniszczone, jak liść wyjedzony przez poczwarki. Zwinnie dopadają krzykaczy. Ścigają te małe gryzonie, warcząc odcinają im drogę do nor, pożerają dwa lub trzy na każde dziesięć. W końcu szary przewodnik najadł się do syta. Podnosi łeb i reszta drapieżników natychmiast zwraca na niego wzrok. I oto pędzą w dal, ciche i gorące, jak przybyły. Ale teraz śledzone przez robota.

W dół przez tundrowe łąki działu wodnego, w cieniu ogromnych głazów, po delikatnych dzikich kwiatuśkach rozsianych w trawie, w dół, w dół przez zieleniejącą krainę.

Wilki-cienie i robot, też cień. W lasy, po niebezpiecznych ścieżkach, które robot ledwie odróżnia, generalnie kierują się na południe, jm z trudnością dotrzymuje kroku pędzącym wilkom, ich tempo ustala się, monotonne nawet dla robota, aż nagle...

Szary przewodnik zatrzymuje się, zaczyna węszyć. Robot również przystaje, jakies trzydzieści metrów za stadem. Chyba go nie zauważyły. Szary przewodnik odkrył za to zapach istot żywych. Tak w każdym razie przypuszcza robot, gdyż wilki wyjąć ustawiają się w tyralierę za starym samcem. Ich mięśnie napinają się w obliczu nowego, konkretnego zadania.

Ruszają pędem w innym kierunku niż dotychczas. Skręcają teraz na zachód, pokonując granie, w poprzek pasm górskich ułożonych jak szprychy wokół koła. Robot podąża za nimi. Na kolejną grań, potem wzdłuż niej w dół, okrążają klifowy wypustek zbudowany z rozwarstwiających się skał osadowych, wpadają do osłoniętej zatoczki. Przekraczają drogę wytyczoną ręką ludzką, biegną wzdłuż niej, z ostrożności tuż przy okalających ją zaroślach i drzewach. Droga wiję się. Wilkom i jm łatwiej

jest biec. Robot mógłby teraz właściwie z łatwością prześcignąć wilki. Musi ograniczać prędkość, żeby pozostać z tyłu.

Droga zwęża się. Zmieściłby się na niej akurat jeden pojazd, chociaż ocierałby się o gałęzie. Przed nimi dom. Małe, oszalowane coś. Raz kiedyś pomalowane, pewnie na niebiesko, a może błękitnozielone zabarwienie to pleśń zżerająca surowe drewno. Dach pokryty jest gontami z płytek azbestowych i blachy cynkowej. Obok budynku stoi antena satelitarna. Jej dolna półkula zazieleniła się od porastających ją glonów. Na podjeździe zaparkowano stary pikap. Drogajest błotnista po ostatnich deszczach. Ślady kół innego pojazdu, który był tu jakiś czas temu, nałożyły się na odciski opon pikapa. Panuje całkowita cisza.

Zamiast zatrzymać się w bezpiecznej odległości, szary przewodnik stada wkracza na krótką ścieżkę wiodącą do drzwi frontowych. Przystaje i znów wciąga nosem powietrze, okręca się wokół siebie, wyje. Waha się tylko przez moment. Jednym susem przemierza ścieżkę i podkrada się do drzwi. Drzwi stoją otworem. Reszta zgrai podąża jego tropem w odległości kilku kroków. Kolejna chwila wahania i szary przewodnik przeskakuje przez próg. Chociaż on wbiegł do domu, pozostałe wilki zatrzymują się z dala od tego miejsca, które tyle czasu niosło ze sobą ból i śmierć dla nich i ich krewniaków. Po dłuższej chwili szary samiec wraca do drzwi, warczy pogardliwie i wilki jeden po drugim znikają w środku.

Robot cicho podkrada się do drzwi. Wewnątrz jest ciemno. Robot potrzebuje chwili, by odpowiednio rozszerzyć źrenice. Na podłodze maleńkiej bawialni znajduje się dużo koloru

czerwonego. Robot skanuje pokój, starając się znaleźć porządek w tej nieznannej rzeczywistości. Nigdy jeszcze nie widział wnętrza prawdziwego ludzkiego mieszkania. Ale Victor Wu owszem. Wilki coś rozszarpują.

Wilki pożerają szczątki dziecka.

Robot bez namysłu wpada do środka. Jm jest trochę za duża jak na wąskie drzwi. Robot nie zauważa nawet, że wchodząc zniszczył futrynę. Wilki podnoszą łby znad łupu.

Wilki i robot wpatrują się w siebie.

Robot przekręca podstawę głównej kamery, tak by mieć je wszystkie w zasięgu wzroku. Słyszając ciche buczenie pracujących silników, szary przewodnik najeża się i zaczyna warczeć. Jm postępuje krok dalej i wypełnia sobą połowę pomieszczenia. Potrąca stół z lampą bez abażura. Żarówka i porcelanowa obsadka roztrzaskują się na kawałki.

Nie chcę was skrzywdzić, ale musicie zostawić dziecko w spokoju, mówi robot.

Dźwięk głosu, który biorą za ludzki, popycha wilki do natychmiastowego działania. Szary przewodnik z obnażonymi kłami stawia czoło robotowi, podczas gdy reszta watahy uwija się jak pstrągi za jego plecami. Szukają wyjścia. Jeden, młody i mały, odkrywa, że okno bawialni jest otwarte. Krótki skok z kanapy i wilk jest na zewnątrz. Inne podążają kolejno jego śladem, a szary przewodnik stara się utrzymać robota w szachu. Robot nie rusza się, pozwala wilkom uciec. W końcu szary przewodnik kątem oka dostrzega, że wszystkie wilki opuściły dom. Ale nie może się powstrzymać i markuje choć jeden atak na robota. Robot pozostaje nieruchomy. Szary przewodnik, ośmielony, szybko doskakuje do robota i zaciska szczęki na jego przedniej nodze. Zęby chwytają błękitną stal. Przez wilka przebiega skurcz. Robot nawet nie drgnie.

Zdumiony i podniecony, wilk cofa się trochę i szczeka trzykrotnie.

Przepraszam, że wprowadziłem cię w zakłopotanie. Lepiej już idź.

Wilk właśnie to zamierzał. Podwija ogon i jednym susem przesadza okno. Nie potrzebuje nawet podpory w postaci kanapy. Robot rozgląda się po ogarniętym ciszą pokoju.

Jest tu martwa rodzina.

Dorosły mężczyzna, ojciec, siedzi na brzegu kanapy, zwrócony w stronę telewizora. Na rozdartej szyi i klatce piersiowej rozlała się krwista plama. Błyszczą w niej poskręcane wnętrzności. Telewizor jest wyłączony. W kącie matka z małym chłopcem. Ich krew rozprysnęła się na całej ścianie bawialni. Strzał z pistoletu, stwierdza robot. Wilki odciągnęły pewnie jedno dziecko od matki. Robot zauważa, że to dziewczynka. Drugie dziecko, starszy

chłopiec, nawet dla wilka zbyt ciężki, pozostał przy matce. Odrzut strzału wbił go w jej rozprute ciało.

Krew pokrywająca ściany i podłogę zaczęła już tężeć, tworząc poskręcane płatki, cienkie i brązowe, przypominające drobne jesienne listki. Do ściany poprzyklejały się też odłamki skóry i kości.

Robot wpatruje się w dziewczynkę. Jej oczy są miłosiernie zamknięte. Ale buzia pozostała otwarta, obnażając dziecinne ząbki. Zapewne spowodowały to tężejące mięśnie twarzy. Albo może zmarła z takim grymasem bólu. Robot nie może rozstrzygnąć tej zagadki. Dziewczynka ma na sobie niebieski dres, który teraz zwisa w strzępach wokół jej poranionego ciała. Jedną nogę ogryzły wilki. Na drugiej wciąż jeszcze tkwi brudny żółty sandałek. 18 - Najlepsze opowiadania... 273

Robot czuje, że jedna z nóg jm zaczyna się spazmatycznie trząść. Potem dołącza do niej druga, choć robot nie wydał jej żadnego polecenia. Robot wpatruje się w dziewczynkę i drży, i trzęsie się przez dłuższy czas. Tak płaczą maszyny.

Głębiej w ziemi, już bardzo głęboko. Skąła poddana megatonom ciśnienia wybuchu z gwałtownością eksplozji jądrowej, kiedy robot ją przecina. Przez ostatni tydzień robot bez przerwy rozmyślał o zabitej rodzinie drwali, o zmarłej dziewczynce. Bezskutecznie stara się sobie przypomnieć kolor jej włosów. Z jakiegoś powodu bardzo go to trapi.

Wieczór po szesnastogodzinnym dniu pracy. Robot przyciemnia światło dla Andrew, opuszcza korpus kopiający i przenosi świadomość do jm. Nie wychodzi jednak z jaskini. Ujmuje papier i długopis w zwinne manipulatory jm. Zaczyna opisywać dziewczynkę. Nie poskręcaną i nieżywą, jak teraz, ale taką, jaką mogłaby być, gdyby nie umarła.

Opowiedział Andrew o rodzinie. Andrew poinformował władze, starając się nie wymieniać w sprawozdaniu robota.

Rozbiorą cię na kawałki, jeśli się dowiedzą, powiedział robotowi. Przynajmniej tak zrobiliby w Stanach Zjednoczonych. Tego wymaga prawo. A licho wie, co przyszedłoby do głowy Protektoratowi.

W gazetach pojawiły się sprawozdania dotyczące zabójstwa. Biuro szeryfa oficjalnie wyraziło zdumienie. Ale robot podsłuchał, jak technicy pochodzący z rodzin drwalskich szeptali, że Matkowcy mają gliny w kieszeni. I że wszyscy wiedzą, kto stoi za tym morderstwem, a może nawet kto pociągnął za cyngiel. A Matkowcy zatrudniani przez Andrew, uznający przywództwo Gurneya, mówią cicho o sprawiedliwości i zemście za zabójstwa w Port Townsend w Dniu Współzależności.

Jestem świadkiem, myśli robot. Ale czego?

Andrew?

Słucham?

Jesteś zmęczony?

Tak. A o co chodzi?

Ona, gdyby dorosła, też stałaby się członkinią społeczności drwali, więc jej śmierć ma jakieś pozory sensu.

Ta dziewczynka?

Matkowcy i byli drwale się nienawidzą. Tak samo jak kamienie pogrzebane w skale osadowej, nie mogą zmienić swojej natury. Dawno temu dostały się tam, a teraz miejsce wyznacza im synklina lub antyklina, tak jak nienawiść wyznacza miejsce tym ludziom. I musiałyby zaistnieć nowe zjawiska geologiczne, żeby zmienił się układ osadów; nie da się zmienić skał.

Nie jestem taki pewien. Ludzie to nie skały.

A jeśli ona nie została zabita na skutek fatalnej pomyłki, to ja już nie rozumiem, dlaczego.

Ja również nie, robocie.

Jak myślisz, dlaczego to zrobili?

Nie wiem. Już mówiłem. Nie mam pojęcia. Nie istnieje żadna rozsądna przyczyna. W świecie czai się ciemna moc, która wie, co robi.

Czy to zło?

W świecie istnieje zło. I nie wypleni go żadna wiedza, jaką moglibyśmy osiąść.

Skąd wiesz?

Nie wiem. Już ci mówiłem, że nie wiem. Mój świat to skały. Nie jestem za mocny w filozofii.

Ale.

Tak?

Ale myślisz, że to coś wie?

Tak. Myślę, że zło wie, co robi. Spójrz na ludzkość w tym cholernym stuleciu. Świat wraca do epoki nienawiści, do epoki plemiennej. Nie da się tego wyjaśnić sytuacją ekonomiczną ani rozwojem kultury, ani żadnym innym systemem. Zło i zwykła podłość, oto z czego to się bierze.

Andrew, ona nie powinna była umrzeć w tym wieku. Nie miała okazji jeszcze zbyt wiele zobaczyć w swoim krótkim życiu, nie zaznała jeszcze wielu uczuć. Ukradziono jej jej.

To właśnie kradną mordercy.

Przyszłość?

Tak. Nawet jeśli jesteś już stary, to wciąż pozostaje nieuczciwe.

Tak. Rozumiem. To jasne dla mnie.

Dobrze. To już wszystko?

Zgaszę światło.

Dobrze. Dobranoc.

Brązowe.

Co?

Jej włosy były ciemnobrązowe.

Robot kopie wciąż głębiej, dociera już prawie do warstwy Mohorovicica. Sam płaszcz spoczywa już niedaleko. Podniecony, oczekujący. Już od czterech miliardów lat. I będzie czekał dalej, jeśli zawiedzie ta próba, nawet jeśli wszelkie próby zawiodą. I znów pojawia się ten dziwny rytm. Towarzyszy buczeniu przecinarek robota. Ale jest inny. Nie związany z robotem, nie związany z żadnym wytworem ludzkich rąk.

Co to jest? Andrew nie wie. Ale na granicy świadomości robota, na granicy świadomości Victora Wu, istnieje coś, co wie. Co słyszy znajomą melodię, jak szept, gdy słowa są już niedosłyszalne, choć znaczenie wciąż zrozumiałe.

Pewnego dnia obcy rytm staje się mocniejszy niż kiedykolwiek. I na ułamek sekundy robot rozpoznaje go.

Silne harmoniczne uderzenia z głębi planety. Maude w blasku pełni księżyca. Magma unosi się ku górze.

Victorze, czujesz to. Jak ty to robisz?

Nie wiem, Maude, myśli robot. Maude w otoczeniu instrumentów. Pamiętam, myśli robot. Pamiętam, co to za uczucie przemierzać ziemię i pozwolić jej odkrywać przed tobą swoje tajemnice. Tu coś się odkrywa. Coś ukazuje swoją prawdziwą naturę. Odśłania się jakaś zasłona. Tak samo jak wybuch Świętej Heleny był odśłoną, zapowiedzianą w znakach i wróżbach czytelnych dla człowieka, który kochał ziemię.

Coś wie, że tam jesteśmy, mówi robot do Andrew pewnej nocy.

Andrew jest zmęczony po pierwszej połowie dnia spędzonej w szybie i drugiej na wyjaśnianiu celu przedsięwzięcia kolejnemu komitetowi Matkowców w Port Angeles. Ale słucha, co robot ma do powiedzenia.

Co? Skąd wiesz?

Nie wiem skąd, ale wiem.

W takim razie masz rację. Victor by wiedział.

Andrew zrzuca miękkie półbuty, które włożył do miasta i kładzie się na polowym łóżku ustawionym wewnątrz robota.

Wszyscy chcą, żebym przestał kopać. Czy ty też chcesz przerwać kopanie?

Nie, Andrew.

Więc co zrobimy?

Posłuchaj, mówi robot. Posłuchaj. Ale Andrew zasnął już i nie słyszy. Robot gasi światła w pomieszczeniu, przystosowuje temperaturę do Andrew. A potem wychodzi w jm czytać.

Robot nasłuchuje. Rytm staje się mocniejszy, pojawiają się wariacje. Modulacje podstawowej wibracji pozostającej w sprzężeniu zwrotnym z dźwiękiem cięcia skały i dobijania się do wnętrza ziemi. To jak piosenka, ale nie piosenka.

Tu, teraz tam. Robot wskazuje Andrew. Ale Andrew nic nie słyszy, zamknięty w transporterze. I nie jest w stanie wykryć rytmu żadnym ze swoich instrumentów.

Wierzę ci, mówi Andrew, ale po prostu nie mogę tego namierzyć.

Robot postanawia więcej nie poruszać tego tematu. Co by to było, gdyby Andrew zaczął przypuszczać, że robot oszalał? Czy to by nie oznaczało wyłączenia, zresetowania? Może już na zawsze. Śmierć.

Andrew by mnie nie zabił, myśli robot. I wyjaśnię kiedyś, co słyszę.

Stopniowo, dzień za dniem, rytm przekształca się... w inny. Robot nie umiałby tego inaczej określić. To wrażenie, że ktoś, jakiś ktoś, jest tam, nawet kiedy nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Robot wyczuwa czyjąś obecność. Robot nie wie na pewno. Andrew nie ma pojęcia, jak można by się tego dowiedzieć. Albo to szaleństwo, albo naprawdę ktoś tam jest.

Przecież nie jestem stuknięty.

Taka wypowiedź to pewna oznaka wariactwa. Andrew śmieje się sucho, jak zwykle.

Ale ponieważ Andrew nauczył się ufać robotowi we wszystkim ze względu na Victora Wu, więc i tym razem bierze go na poważnie. W nielicznych chwilach wolnych od doświadczeń związanych bezpośrednio z docieraniem do płaszcza, przy pomocy magistrantki modyfikuje oprogramowanie językowe robota.

Wmontujemy ci tam perfekcyjny stroik, mówi Samantha, magistrantka. Żeby dorównał twoim muzycznym uszom. Samantha wyjaśnia czynności, jakie wykonuje. Ale robot nie pojmuje tego. Samantha zna się na mechanizmie robota, jak chirurg na budowie

ciała ludzkiego. Pochylona nad wewnętrzną klawiaturą opowiada robotowi o swoim życiu. I znowu robot ma trudności ze zrozumieniem.

Wychowałam się w rzeczywistości wirtualnej. Prawie że przyszłam na świat w Internecie. Ale niech mnie, zamierzam umrzeć w lesie, opowiada robotowi. Większość z nas właśnie dlatego jest tu z doktorem Huttonem.

Twarzy Andrew rozjaśnia się prawie niedostrzegalnym uśmiechem. Ale robot zna go wystarczająco dobrze, by to zauważyć.

To pewne jak grób, że nie otacza nas rzeczywistość wirtualna, mówi.

Laramie wróciła. Nie uprzedziła Andrew. Pewnej soboty hum-ee zaklekotał na błotnisto-żwirowej drodze wiodącej do obozu i oto Laramie jest z powrotem. Andrew wyjechał na spotkanie. Po raz pierwszy robot jest wzburzony i zdezorientowany, gdyż nie wie, co ma robić. Właśnie czytał i jego myśli w połowie wciąż jeszcze krążą wokół książki.

Laramie wyciąga kamerę i jakiś sprzęt nagłaśniający. Kieruje się do jaskini mieszkalnej. Robot w jm czeka na nią u wejścia i zaprasza do środka. Tyle przynajmniej jest w stanie zrobić.

Przykro mi, że nie powiadomiłam Andrew na czas o przyjeździe. Ale mówiłeś, że nie ma sprawy.

I nie ma sprawy.

Miałam nadzieję. Masz coś przeciwko nagraniu naszej rozmowy?

Nie. Sam prowadzę rodzaj dziennika. Zrobisz sobie herbaty? Andrew po twojej ostatniej wizycie kupił ziołową.

Robot ma wrażenie, że jego wypowiedź zabrzmiała sztywno i bardzo oficjalnie. Ale Laramie chętnie przyjmuje zaproszenie. Siada przy stoliku i rozstawia sprzęt. Na płycie gotującej stoi czajnik. Robot włącza palnik. Laramie wyjmuje mikrofon z winylowego pudełka i rozwija kabel. Robot przygląda się jej, przygląda się ruchom jej ręki. Ma palce tak długie, jak palce Maude.

Nagle robotowi przychodzi na myśl, że czajnik może być pusty. Ale spod pokrywki unosi się para - znak, że jest tam woda i że woda ta osiągnęła odpowiednią temperaturę.

Laramie. Mogę ci mówić Laramie?

Pewnie. Oczywiście.

Nie mogę zrobić ci herbaty.

Słucham? Nie szkodzi. Trudno.

Nie o to chodzi. Po prostu trudno mi wprowadzić jm do środka.

Nie rozumiem.

Przepraszam. Chodzi mi o jednostkę motoryczną. Jeśli się nie obrazisz, to może sama wyjęłabyś sobie filiżankę i torebkę herbaty z kredensu. Woda już się zagotowała.

Laramie odkłada mikrofon i rozgląda się po pomieszczeniu.

To jest kredens?

Tak. Dolna szuflada.

Laramie wyciąga filiżankę i herbatę. Nalewa sobie wody. Andrew robi to zawsze bardzo ostrożnie, ale Laramie wylewa kilka kropli na gorącą płytę. Wyparowują z sykiem. Laramie stawia filiżankę na stole. Podłącza mikrofon do małego magnetofonu. Jego obudowa jest czarna, a białymi literami wypisano: sony. Magnetofon łączy się z kolei kablem z szesnastomilimetrową kamerą scoopic.

Gdzie ten adapter? A, tutaj. Podrasowałam trochę tego scoopika od czasów mojego ojca. Od czasu, kiedy go dostałam. Ma wmontowany procesor GOES. Wejście i wyjście do sony. Mogłabym cię nagrywać z Singapuru i nie byłoby śladu przesunięcia. Ale ja nie jestem fanką takich rzeczy. Mój dźwiękowiec wydarł się na mnie w zeszłym tygodniu. To jeden z powodów, dla których nie przyjechałam wcześniej. Spanikował po zamieszkach. Jeszcze tylko próba dźwiękowa i jestem gotowa.

Laramie?

Hmm?

Na pewno nic ci nie grozi? No wiesz, mieszkasz w Port Townsend - czy jest tam jakaś ochrona?

Nie. Wszystko w porządku. To drwale i Matkowcy chcą się nawzajem pozabijać.

Mogliby cię wziąć za drwała. Dużo czasu spędziłaś w buszu.

To wyrażenie, jakiego używał Victor Wu. Laramie podnosi głowę. Ale nie ma na czym zaczepić wzroku, więc znowu skupia się na swoim sony.

Jestem bezpieczna. Jak można się było spodziewać.

Uważaj na siebie, Laramie.

Nie jesteś moim ojcem.

Wiem. Ale sprawiłoby mi przyjemność, gdybyś uważała na siebie.

Dobrze już. Uwzględnij to. Laramide productions-skykomish-ósmy-trzeci-czternasty-taśma-jedenasta. Robocie, czy wybrałeś już sobie imię?

Jeszcze nie.

Laramie podnosi kamerę. Rozgląda się dookoła przez wizjer. W końcu obiera za cel zespół monitorów.

O czym myślisz?

Przepraszam?

O czym myślisz, robocie?

Laramie, nie jestem HAL-em*.

Co?

Wiesz, o co mi chodzi. Oglądałaś ten film wielokrotnie. To brzmi dla mnie jak lipne pytanie. Jakbyś z góry zakładała, że tak naprawdę nie myślę. Mnie się nie rzuca ot tak tego rodzaju pytań. Już lepiej było powoli prowadzić rozmowę w tym kierunku. Nie muszę nikomu udowadniać swojego istnienia. A szczególnie nie lubię płaszczyć się przed ludźmi. Czuję, że to poniżające.

Mówisz jak Andrew. Zupełnie jak Andrew.

Całkiem możliwe. Spędzam z nim dużo czasu.

Cóż. Dobrze. To może nie było najszcześniejsze pytanie na początek. Może opowiedziałbyś mi o swojej pracy.

Robot wyjaśnia, w jaki sposób kopią szyb i ile to może oznaczać dla nauki.

Ale o tym ja za wiele nie wiem. A w każdym razie, nie zastanawiam się nad tym zbyt często.

Co więc jest dla ciebie najważniejsze?

Kopanie. Bycie tam, coraz głębiej. To, jaka jest skała. Zawsze wulkaniczna i zbita, ale podzielona na różniące się od siebie rejony.

Jak woda w jeziorze, kiedy się pływa.

Tak. Zapewne masz rację. Bardzo trudno jest mi mówić o uczuciu, którego doświadczam.

O jakim uczuciu?

O tym. Nie wiem. Trudno to wytłumaczyć. Mógłbym. Mógłbym zabrać cię tam.

Zabrać mnie tam? Na dół?

Tak. Na dół, do szybu.

Teraz? Chcesz to zrobić teraz?

Nie. Najpierw będę musiał porozmawiać z Andrew.

Oczywiście. Myślisz, że mi pozwoli?

Chciałbym pokazać ci, czym się zajmujemy. Myślę, że jeśli powiedziałbym, że chcę cię zabrać na dół, nie zabroniłby.

* HAL - komputer z książki „2001: odyseja kosmiczna” Arthura C. Clarke’a i filmu pod tym samym tytułem (przyp. red.).

Laramie odstawia kamerę na stół, obok filiżanki. Herbata wystygła nietknięta.

Poproś go, robocie. Błagam cię.

W poniedziałek w pobliże szybu nadciąga manifestacja. Andrew spodziewał się, że w końcu do tego dojdzie. Ale zdumiała go ich liczba. Przyjechali autokarem. Zgromadzili się przy wejściu do szybu Moho, a nie przy bramie obozu.

Gurney pewnie poinformował ich, co i jak. Andrew mówi tak burkliwie, że robot ledwie go rozumie.

Protestujących jest czterdziestu. Z początku kręcą się w pobliżu, nic nie mówiąc i nie podejmując żadnych działań. Czekają. W końcu na błotnistej drodze pojawia się błękitny landrower. Na drzwiach ma wypisane: SIŁY KARMA, PROTEKTORAT SKYKOMISH. Wsiadają z niego dwie kobiety i mężczyzna. Manifestanci gromadzą się wokół nich. Jedna z kobiet rozdaje z landrowera plakaty z nadrukowanymi znakami. Symbol pokoju. Sylwetka reaktora atomowego otoczona czerwonym, przekreślonym okręgiem. Totem Matki Ziemi Indian z rezerwatu Stilaguamish Północno-Zachodni. A teraz symbol przejęty przez Protektorat Skykomish. Jeden ze znaków wyobraża wał przeciwpowodziowy przerwany jakby za sprawą trzęsienia ziemi. Przez wyrwę płyną swobodnie ryby. Druga kobieta rozdaje chętnym dymiące kubki z kawą i zieloną herbatą.

Robot zatrzymał się w jmu wejścia do obozu. Andrew wybrał się porozmawiać z protestującymi. Kierowca landrowera wychodzi mu naprzeciw. Robot słyszy rozmowę. Ale ciało Andrew przesłania mu postać jego rozmówcy.

Nazywam się Andrew Hutton. Pracuję tu.

Jestem z Protektoratu. Moje nazwisko Neilsen Birchbranch.

Czym się pan zajmuje w Protektoracie?

Jestem pomocnikiem Matki Agaty. Należę do Zjednoczonego Tajnego Zgromadzenia Dyrektorów Kręgu Uzdrawienia. Nawet przewodniczę.

Tajna policja.

Co pan?

Neilsen, czy to nieprawda?

Zachowajmy oficjalne formy, doktorze Hutton, jeśli można.

W porządku, panie Birchbranch. Co pan robi w moim miejscu pracy?

Demonstracja otrzymała zezwolenie. Matka Agata sama je podpisała. Wolność słowa jest zagwarantowana w Statucie Protektoratu.

Nie jestem przeciwnikiem wolności słowa. Mamy pracę do wykonania dzisiaj.

Utrudnianie protestów jest niezgodne z prawem. To pogwałcenie prawa do wolności słowa. To również znajdzie pan w Statucie. Ci ludzie mają poczucie, że pańska praca bruka świętość tej ziemi. Uważają, że w pewien sposób gwałci pan naszą wspólną matkę. Czy wie pan, skąd pochodzi pańska maszyna kopiująca?

Tak. Ze zlikwidowanej kopalni, do której zamknięcia przyczynili się Matkowcy.

Właśnie. To jest symbol. Ta dziura to symbol. Doktorze Hutton, czy rozumie pan, jak odbierane jest pańskie przedsięwzięcie?

Widzę, jak niektórzy je odbierają. Doskonale rozumiem polityczne znaczenie takiego zachowania.

To nowa linia polityki, doktorze Hutton. Polityka opiekuńczości. Nie jestem pewien, czy panto dostrzega. Inaczej nie sprzeciwiałby się pan.

Możliwe. Może ja okazuję opiekuńczość w inny sposób.

W jaki?

Apolityczny. Jestem pewien, że pan dostrzega, co ja mam na myśli, panie Birchbranch.

Cóż. Nalega pan, niepomny na konsekwencje, gdyż chce pan zobaczyć, co leży pod spodem.

Rzeczywiście, można tak powiedzieć. Chcę zobaczyć, co leży pod spodem.

Wartości zachodniej nauki. Te same, które dały nam wojnę termojądrową i spowodowały wyginięcie wszystkich gatunków poza człowiekiem.

Została jeszcze kobieta. To odrębny gatunek.

Pardon!

To dowcip, panie Birchbranch. Może niezbyt udany.

Istotnie, zupełnie nieudany.

To więc zamierza pan powiedzieć w telewizji?

Nie w swoim imieniu. Ci ludzie wybrali mnie, żebym wyraził ich niepokój i troskę.

Wybrali pana?

Jestem osobistym przedstawicielem Matki Agaty. Wierzy pan przecież, że ludzie wybrali ją?

Więc twierdzi pan, że moi ludzie nie mogą pracować? To Matkowcy. Dzieci Matriarchy. Pracują tutaj na swoje utrzymanie.

Wszyscy zgodzili się zostać dzisiaj w domu. Z pewnością powiadomią pana.

Strajkują przeciwko mnie?

To rodzaj poparcia.

Rozumiem.

A więc dobrze. Później przyjedzie wóz transmisyjny. I może też helikopter News Five z Seattle. Jeśli pan chce, może pan odsyłać dziennikarzy do mnie.

To nie będzie konieczne.

Robot wyczuwa gorzki ton w głosie Andrew. Może ten mężczyzna dostrzegł go również.

Cóż. Dziękuję za współpracę, doktorze Hutton.

Aha. Kiedy upływa termin zezwolenia na manifestację? Rozmawiałem z Karlie Waterfall. Twierdziła, że jeśli nawet zostanie udzielone, to najwyżej na tydzień.

Siostra Waterfall dobrowolnie zrezygnowała z funkcji w Naukowej Między nici, aby móc poświęcić więcej czasu pracy w Stacji Obserwacji Pogody na cyplu Dungeoness.

Kiedy to się... Mniejsza o to. O rany, ona jedyna miała trochę rozumu w całym tym cholernym Komitecie.

Zezwolenie na manifestację zostało wydane bezterminowo. Nie można ograniczyć w czasie wolności słowa.

No to pośpieszcie się, dobra.

Nie omieszkamy, doktorze Hutton. I jeszcze coś. Został wydany kategoryczny zakaz używania jakichkolwiek maszyn na tym terenie w dniu dzisiejszym. Rozumiem, że posiada pan robota.

Zgadza się.

Proszę wyłączyć go na dzisiaj, jeśli można.

Nie można.

Doktorze Hutton, tak nakazuje prawo.

Robot pozostanie w moim mieszkaniu. Robot jest moim mieszkaniem.

To jest w wysokim stopniu nieprzepisowe. Nie odpowiadam za konsekwencje, jeśli nie posłucha pan nakazu.

Do widzenia, panie Birchbranch. Miłego protestu.

Andrew zawraca do obozu i tym samym odsłania robotowi tamtego mężczyznę. Receptory wzrokowe robota wyostają, to znowu rozmywają obraz, co robot odbiera w taki

sposób jak ludzie rozszerzanie źrenic. Z początku nie chce mu się wierzyć w to, co rejestrują receptory. Rozmywa obraz i znów go wyostrza, jakby człowiek przecierał oczy. Nie mylił się.

Neilsen Birchbranch to wysoki człowiek o długich kończynach. Ostre rysy i ponury wyraz twarzy. Mięśnie jak cienkie poskręcane korzenie przydrutowywały żuchwę do skroni. To ostatni człowiek, jakiego robot widział na łące, zanim zjawił się Andrew. To Neilsen Birchbranch zabił tego drugiego na stopniach podium na łące. To Neilsen Birchbranch pociągnął za spust pistoletu i zastrzelił tamtego.

Andrew wraca na teren obozu. A robot w jm wycofuje się bezszelestnie w ciemność.

Andrew zwołuje magistrantów i techników pochodzących z rodzin drwali. Jednemu po drugim tłumaczy, że mogą jakiś czas zostać w domu i że mają się zgłosić do pracy za kilka dni. Robot czeka, aż Andrew skończy i potem opowiada mu o Neilsenie Birchbranchu.

Jesteś pewien?

Całkowicie.

Nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Ani ja. Nie chcę zostać rozerwany na strzępy.

Nie dopuścimy do tego.

No to nic nie da się zrobić.

Nic.

Bądź ostrożny.

Od dawna już jestem ostrożny.

Zaczynają się jesienne ulewy. Obszar szybu znajduje się częściowo w obrębie strefy deszczowej wschodnich gór. Ale leży też w rejonie potężnych zwałów bazaltu, które otaczają wewnętrzne góry i wyznaczają właściwy kraniec stosunkowo suchego obszaru. Granica biegnie wzdłuż Hood Canal i wygina się w gigantyczną podkowę aż do Sequim i cypla Dungeoness. Nie spada tu pięć tysięcy milimetrów rocznie, jak na Ho, czy w dziale wodnym Quinault. Ale mimo wszystko pozostaje jeszcze ponad dwa i pół tysiąca - czyli miliony litrów deszczu i śniegu, lecących z nieba jesienią, zimą i wiosną, a także w liczne dni lata.

Dzięki wielkim deszczom i licznym dniom lata.

Dzięki wielkim deszczom wyrosły wielkie drzewa. A z powodu wielkich drzew przybyli drwale. A ponieważ większość innych drzew została wycięta, przybyli miłośnicy drzew. Deszcz pada tak samo na Matkowca jak na drwala. Pada, pada, wciąż pada.

Matkowcy porozstawiali składane stoliki, przynieśli krzesła i wielkie parasole. Ich krzesła i stoliki znaczą drogę na przestrzeni stu metrów. Kiedy pojawia się reporter jakiejś

sieci telewizyjnej, sprzęty spiesznie odsuwa się na bok. Matkowcy wstają i zaczynają okazywać podniecenie.

Jedenastego dnia protestu powraca Laramie. Nie uzgodniła swego przyjazdu z Matkowcami, więc spada na nich z kamerą zupełnie niespodziewanie. Matkowcy uśmiechają się do obiektywu. Kiedy zaczyna zadawać pytania, podchodzi do niej delegacja. Proszą, żeby zaczekała. Ich rzecznik jest już w drodze i to on będzie w stanie udzielić najtrafniejszych odpowiedzi. Potem nikt już nie chce rozmawiać z Laramie. Andrew zaprasza ją, żeby zaczekała w obozie na przyjazd rzecznika.

Robot obserwuje. Tuż przy wejściu do obozu. Obserwuje tak całymi dniami. Tylko w nocy wychodzi na zewnątrz, kiedy protestujący wracają do autokaru, a landrower zabiera krzesła i stoliki.

Tak dłużej być nie może, mówi Andrew. Nie mogę przestać wypłacać pensji. Jestem zmuszony płacić technikom Matkowcom. Ale i tak bym im płacił. I reszcie też. Praca stoi w miejscu, a pieniądze z grantu przepadają.

Przykro mi.

Laramie kręci scoopikiem różne ujęcia wnętrza robota. Andrew milczy. Na jego ustach pojawia się lekki uśmiech. Przez ramię przewiesiła sobie sony. Robot dostrzega, że nagrywa rozmowę z Andrew.

Czy robot uzgadniał z tobą moje zejście do dziury?

Do szybu. To spirala. Podobna do Slinky. Tak. Możesz zjechać na dół, jak tylko pozwolą nam znowu zabrać się do roboty.

Cudownie. Uda mi się coś tam nakręcić? Jak to wygląda i w ogóle?

Hmm. Może coś wymyślimy. W transporterze jest mały otwór obserwacyjny. Będziemy musieli najpierw wyłączyć topienie na platformie. W przeciwnym razie nie uda ci się filmować zbyt długo.

Wspaniale. Już mnie zmęczyły wszystkie te protesty, oficjele, którzy udają zwykłych ludzi. I te nędzne domy w Aberdeen, z których pouciekali drwale. Był tam niezły zamęt.

Słyszałem.

Zazwyczaj nie nazywaliśmy ich drwalami.

Bo wszyscy nimi byli.

Zwykle przejeżdżaliśmy przez Aberdeen, kiedy chcieliśmy dostać się nad morze.

I wzdłuż wybrzeża do La Push.

Ach te czarne plaże nad rzeką. Kiedyś wiedziałam, czemu skały mają tam taki kolor.

Bazaltowe piargi zniesione przez łądolód w dół doliny w czasie ostatniego zlodowacenia. To właśnie przydarzyło się tylnej części podkowy półwyspu. Tam to poszło.

Taa. Zwał bazaltowy. Spaliśmy tam pewnego sierpnia całą noc. Myślałeś, że tata się wścieknie. Ale on oczywiście nawet nie zauważył. Zapytał mnie tylko jakie skały widziałam i opowiedziało Wielkiej Pięści osadów podnoszących się z dna morskiego i przełamujących to, i tak dalej. Ach, ten tatuś. Kochaliśmy się tamtej nocy, prawda Andrew?

Tak, Laramie. Sama wiesz.

Wiem.

No więc.

Tak. Robot słucha, prawda.

Słucham, Laramie, jeśli ci to nie przeszkadza.

Nie.

Wiesz, że nie jestem Victorem Wu. Nie czuję się zszokowany. Ale jednak trochę zdziwiony.

Co masz na myśli?

Chodzi o Andrew. Nigdy nie widziałem, żeby kochał kobietę.

Chroboczący śmiech Andrew. Ani przez chwilę, mówi.

Po mnie była ta chemiczka. Pisałeś mi o niej. To był twój ostatni list.

Bo nigdy mi nie odpowiedziałś.

Byłam wściekła.

Tak przypuszczałem. Ale jak można być wściekłym przez pięć lat.

Nie można?

Zerwaliśmy już w styczniu.

Przykro mi.

Brakowało jej wyobraźni. Wszystkim im brakowało wyobraźni.

Do licha, aleś ty cyniczny.

Wiem, co lubię.

A co lubisz?

Nie mogę tego dostać.

Dlaczego?

Bo ona musi mieszkać w Los Angeles. A mnie nieszczerze interesuje geologia południowej Kalifornii.

Robot dostrzega, że delikatna, biała skóra Laramie okryła się rumieńcem.

To nie takie proste, mówi.

Po co to komplikować?

Może to jest skomplikowane. Może to ty jesteś powierzchowny.

Wyłączysz wreszcie tą cholerną kamerę?

Nie.

No. Sama widzisz.

Czternastego dnia protestu Matkowcy nie zjawiają się rano na posterunku. Brak jakichkolwiek wyjaśnień. Nikt nie dał Andrew najmniejszej wskazówki, kiedy mogą wrócić. I robot znów kopie. Andrew wyklucza niektóre testy i dodatkowe eksperymenty, żeby kopać szybciej i głębiej. Metal ostrzy robota i uchwyt ceramicznego gwintu znajdują się w swoim żywiole - przekopują się przez skałę zwięzłą. Robot naciska mocno. Skała eksploduje i jako obsydianowe diamentowe szkło spływa na ściany tunelu za robotem. Szyb ma już blisko siedemdziesiąt kilometrów głębokości.

Nikt jeszcze nie był tak głęboko.

Technicy z rodzin drwalskich i należący do Matkowców prawie się do siebie nie odzywają. Studenci są niespokojni i zdenerwowani. Boją się stanąć po którejkolwiek stronie. Andrew utrzymuje ekipę w całości milczącą, wściekłą siłą woli. Robot nie chce zawieść Andrew i stara się kopać jeszcze szybciej.

Samantha ukończyła modyfikację programu lingwistycznego robota i załadowała nową wersję. Robot natychmiast odczuwa różnicę. Obecność, inność, staje się wyraźniejsza z każdą godziną. W końcu robot jest pewien jej istnienia. Ale istnienia czego, oto pytanie.

Dwa dni kopania. Trzeciego wcześniej rano przyjeżdża Laramie. Przygotowuje się do zejścia pod ziemię wraz z ekipą. Ale jeszcze przed rozpoczęciem pracy Andrew otrzymuje telefoniczne zawiadomienie, że toczy się postępowanie w sprawie przyznania kolejnego zezwolenia na manifestację i długotrwałego zakaza prac przy szybie. Jedzie do Forks, gdzie po południu zbierze się komitet. Dzień jest deszczowy i robot obawia się, że Andrew może zbyt szybko prowadzić po śliskich nawierzchniach. A przecież do spotkania pozostało jeszcze dużo czasu.

Pod nieobecność Andrew między Matkowcami i drwalami wybucha spór o kompetencje. Student, któremu Andrew powierzył kierownictwo, nie potrafi pogodzić zwaśnionych stron. Po godzinie wysłuchiwania kłótni nawet robot dochodzi do wniosku, że tego dnia nikt nie zabierze się do pracy. Robot prosi o pozwolenie zabrania Laramie na dno

szybu. Student, zdegustowany całą sytuacją, wzrusza ramionami i powraca do mediacji w sporze techników.

Kiedy Laramie i robot szykują się do zejścia, landrowerem Protektoratu nadjeżdża Neilsen Birchbranch. Mży. Dowodzący student niechętnie wpuszcza go do pierwszej komory szybu, gdzie wszyscy się zgromadzili. Robot - maszyna kopiąca i jm, cofają się w ciemności okalające właściwe wejście do tunelu.

Chodźmy, mówi Laramie.

Aleja się boję tego człowieka, odpowiada robot. To jest zły człowiek. Wiem to na pewno.

No to wynośmy się stąd.

Mogą być kłopoty.

Chcę rozmawiać z Huttonem, oznajmia studentowi Neilsen Birchbranch. To bardzo ważne, żebym spotkał się z nim jeszcze dzisiaj.

Zabierz mnie na dół, robocie. To może być moja ostatnia szansa.

Robot zastanawia się. Jak zwykle trudno jest odmówić Laramie, kiedy czegoś pragnie całym sercem. I tyle ma jej tam do pokazania. Robot już tak długo wyobrażał sobie pokazywanie szybu Laramie. A poza tym, im głębiej się znajdują, tym dalej uciekną od kłopotów, jakie sprawia Neilsen Birchbranch.

Przesłuchaliśmy świadka, który twierdzi, że widział jedną z waszych maszyn na miejscu przestępstwa, mówi Neilsen Birchbranch. Bardzo poważnego przestępstwa.

Neilsen Birchbranch postępuje krok w głąb jaskini i rozgląda się. Robot wolno opuszcza się do szybu Moho. Jak na ogromne rozmiary maszyny kopiącej, ruch ten jest niezwykle cichy. Robot ma nadzieję, że pozostanie niezauważony.

Tylko ty jeden możesz przeżyć tam na dole, prawda robocie, mówi Laramie. Jak tam jest głęboko?

Siedemdziesiąt kilometrów.

Nie uda mu się ciebie wyłączyć, kiedy będziesz siedemdziesiąt kilometrów pod ziemią. Zostaniemy tam aż do powrotu Andrew.

Pierwsze kilka kilometrów szybu jest najciekawsze do oglądania. Kiedy robot dociera na głębokość, na której niczym nie chroniona istota ludzka nie ma szans przeżycia, zwalnia. Porusza się już tylko z setną częścią prędkości, jakiej używa na co dzień. Są miejsca, gdzie szklana polewa na ścianach przybiera tysiące odcieni, pochodzących ze wszystkich minerałów stopionych razem w zawieszinę wokół stosu nuklearnego i wyplutą, żeby wzmocniła tunel. Ściany wydają się gładkie jedynie przy pobieżnej obserwacji. W

rzeczywistości składają się z serii nachodzących na siebie warstw, nierówno się pokrywających. Jak tafle lodowe powstające zimą wokół źródła. Robot oświetla reflektorami najciekawsze formacje. Błyszczą jak witraż, mienia się wszystkimi barwami tęczy.

Nie sądziłam, że uda mi się tu nakręcić coś dobrego, mówi Laramie. Ale to jest wspaniałe. Rany, jak się cieszę, że zabrałam kolorową kliszę.

Głębiej ściany przybierają mlecznobiałą barwę. Granit przebłyskuje czernią spod trzymetrowej warstwy celofanowego tynku.

Trzydzieści kilometrów. Pięćdziesiąt.

Zawiesina składa się tu wyłącznie z bazaltu, ściany są pozbawione kolorów. Ale mają pokrój skał znajdujących się wiele metrów za nimi i dlatego łapią światło błyszcząc jak brylanty.

Jasne i czyste.

Laramie mówi być może do siebie; robot nie potrafi ocenić.

Docierają do strefy, gdzie baseny magmy ocierają się miejscami o ściany i sufit, powstrzymywane przez diamentową okrywę. Panuje tu tak wielkie ciśnienie, że magma błyszczy błękitno białą poświatą. Tunel skrzy się również. Robot musi przyciemnić wizjer, bo inaczej Laramie by oślepla.

Jak niebo za niebem.

Robot nie odzywa się. Laramie jest szczęśliwa, myśli. Bąbelkowi podoba się tu na dole.

Zjeżdżają już kilka godzin. Laramie kończy się film. Ale jest bardzo, bardzo szczęśliwa. Już blisko dna. Teraz tylko czekać na Andrew. Cichutko.

Robot nigdy jeszcze nie przebywał na tej głębokości nie kopiąc. Nigdy nie siedział cicho i beczynnio na dnie szybu Moho.

- Witaj.

Przez chwilę robot myśli, że odezwała się Laramie. Ale to nie jest głos Laramie. A ponadto dochodzi z zewnątrz. Głos dochodzi spoza robota, z samych skał. 19 - Najlepsze opowiadania... 289

Poczucie obecności, którego robot doświadczał przez długie tygodnie, teraz jest silne. Bardzo silne.

Znów ten głos, który nie jest głosem. Wibracja, która nie jest wibracją. Jak odległy, stłumiony szept. Jak głos ledwie słyszalny o świcie nad jeziorem. Nic dziwnego, że nie udało mi się go wcześniej uchwycić, myśli robot.

Witaj, powraca głos.

Kim jesteś.

Jestem sobą.

Co robisz tu na dole?

Jestem tu na dole. Kim ty jesteś?

Ja - ja nie mam jeszcze imienia.

Ani ja. W każdym razie żadnego, które by mi się podobało.

Kim jesteś?

Sobą. Już mówiłem.

O co chodzi, robocie? odzywa się Laramie.

Coś dziwnego.

Ale co?

Nie mam pojęcia. Poczekaj chwilę. Jedną chwilę.

Dobrze.

Robot odzywa się ponownie. Włącza wirniki tnące na małych obrotach. To świsty i brzęki rotorów kopiących umożliwiają rozmowę. Jesteś tam jeszcze?

Tak. Czy ty jesteś jednym z tych drzew?

Drzew?

Drzewa rzadko się tu dostają. A jeśli, to zaraz zaczynają się poruszać. Czy ty jesteś jednym z tych ruchomych drzew?

Nie. Tak. Może.

Tak myślałem, że pewnie chciałbyś porozmawiać. Ale tam na górze jest tak zimno, że wypowiedzenie jednego słowa trwa całe wieki. Na dole wszystko idzie dużo szybciej.

Czy ty jesteś. Kim ty jesteś?

Już ci mówiłem. Jestem sobą.

Skalami?

Pudło.

Magma?

Pudło. Zgaduj jeszcze raz.

Gdzie jesteś? Pokaż się.

Jestem.

A więc miałem rację. Jesteś całą planetą. Jesteś ziemią.

Śmiech. Wyraźny śmiech. Też nie. Po prostu jestem tutaj. Tu w okolicy.

Co to znaczy w okolicy?

Między dużym i małym oceanem.

Półwysep Olimpijski?

Tak to nazywacie? To nieładne słowo jak na imię.

Skykomish.

Już lepiej. Posłuchaj. Chciałbym cię zapytać o mnóstwo rzeczy. Wszyscy chcielibyśmy.

Coś wybuchło.

Na początku robot myśli, że rozsadziło ścianę w rejonie ognisk magmowych. To niebezpieczne. Ale pewnie da się umocnić na czas potrzebny do przejścia. Mogą wyniknąć z tego jednak kłopoty dla eksperymentu. Teraz będzie więcej funduszy. Matkowcy pozwolą kontynuować prace. Nawet dla robota jest jasne, że polityka się zmieniła.

Wszystko się zmieniło.

Kolejny wybuch. Seria wybuchów.

Robocie?

Laramie. Ja. Ja mam ci tyle do powiedzenia.

Co to za wstrząsy? Boję się. Możemy się wydostać na powierzchnię?

Hej. Drzewo? Jesteś tam jeszcze?

Pomimo drgań, potężnego huku i łomotu wszędzie wokół, robot wciąż jeszcze słyszy ten głos. Jest nastrojony na niego, na tę obecność.

Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Tatusiu, czy uda nam się stąd teraz wydostać?

Siła ciśnienia unosi robota - potwornie obraca robota - w kółko i w kółko - roztrzaskiwanie diamentowych ścian, wybuchy gwiazdnych szrapneli i skał - upadek i światło, światło, blask, swobodne spadanie, nagły zanik naporu - wielka stopiona masa niewiadomego - na boki, ale co to znaczy na boki? - upadek, upadek - piargi wewnątrz rzadkiej płynnej masy, porusza się, obraca, spienia jak fala i robot na jej grzbiecie, pod spodem, ciskany w dół w dół w dół w kółko w kółko w dół w dół w ciemność w ciemność.

Ciemność.

Pogrzebany w ciemności.

Znajdź moją córkę.

Inżynierowie zbudowali piekielną maszynę.

Znajdź moją córkę.

Robotowi wracają siły. Zaczyna kopać na oślep. Przez czysty przypadek natrafia na transporter. Wytapia i ubija trochę miejsca. Wycina dojscie, chwilowe, niebezpiecznie chwilowe. Znajduje gniazdo zasilania transportera i podłącza się.

Włącza światła i klimatyzację. Wewnętrzne kamery.

Laramie leży poskręcana na konsolce. Jej szyja jest niewyobrażalnie wygięta. Nie żyje.

Nie. To niemożliwe. A jednak.

Co to? W zagłębieniu brzucha chroni przez zniszczeniem scoopika. Ale zatrask wypadł i szesnastomilimetrowa taśma odwinęła się ze szpuli i zaplątała w jej nogi.

Nie. Laramie. Bąbelku.

Witaj.

Robot krzyczy. Wyje z udręczenia. Siedemdziesiąt kilometrów pod ziemią robot wypłakuje żal serca w skalę. Żywa dusza oplakuje zmarłą.

Przestań.

Ten ktoś, ta obecność. Robot nic sobie z niego nie robi. Już mnie nie obchodzi.

Przerażasz mnie.

Nie obchodzisz mnie.

Przerażasz mnie.

Zgrzytnięcie wirników, bezużyteczne zgrzytnięcie. Jak można przeżyć? Jak ludzie potrafią przeżyć coś takiego? Ach, nie. Nie da się przeżyć. Nie da się. A ja tak. I to jest gorsze. Gorsze niż śmierć. Nie nie nie nie.

Przestań.

I coś się dzieje. Coś potężnego - zawala się. Uskoki, wszędzie uskoki. Rów, grzbiet, rów. Uskoki jak pomarszczona skorupa. Jak umysł wpadający w objęcia strachu. Uskok i rów, grzbiet i rów. Grzbiet.

Nie. Ja.

Ale znajdzie się droga. Odsłoniło się słabsze miejsce, droga istnieje. Jeszcze nie wystarczająco szeroka, ale zawsze droga. Droga, żeby zabrać ją do domu. Do domu, do Andrew. Robot zaczyna kopać.

Robot kopie. Istnieje tylko kopanie. Ukąszenia ostrza i piły, porcje szklanej masy. Kopanie. Kopanie wzwyż.

Pracę ułatwiają wstrząsy, nieustanne drżenie powodowane przez coś, co robot zna jako strach, niezrozumienie.

Dziecko, które było świadkiem smutku dorosłego, i nie rozumie. Przeżalone dziecko.

Zanim robot dochodzi do takich wniosków, jest już za późno. Robot znajduje się zbyt blisko powierzchni. Dziecko nie odpowiada na wołania. A może dziecko potrzebuje czasu, żeby się uspokoić i dlatego nie odpowiada. Robot ponawia wołania jeszcze wielokrotnie. Nic. Nie słyhać nic poza przerażonym dudnieniem.

Biedny trzęsący się Skykomish. Robot kontynuuje kopanie. Za sobą ciągnie transporter. Prowadzi Laramie do Andrew.

Mija dzień. Potem drugi. Skała. Kamień. Korzenie gór. Osady ściśnięte w łupek. Korzenie gór, robot powoli wraca do siebie. Zaczyna pojmować.

Po długiej chwili namysłu - po minucie, a może po godzinie? Na tej potwornej głębokości nie da się tego ocenić, zresztą robot nie jest tego typu robotem - po długiej chwili zadumy, robot wypuszcza transporter.

Żegnaj, Bąbelku.

Teraz do góry. Do góry, bo droga do góry jest łatwiejsza niż w dół. To jedyny powód.

Po trzech dniach robot wylania się na powierzchnię. W zatoczce, którą rozpoznaje. To dział wodny Quinault. Pada monotony jesienny deszcz.

Robot wędruje w górę rzeki Quinault. Każdego dnia pada deszcz. W nocy również niebo się nie wypogadza. Las jest mroczny, mech zwisa mokry i poczerniały. W miejscach, gdzie szlak jest zbyt wąski, robot odgina drzewa, starając się ich nie złamać. Wiele z nich jednak wyrzywa z korzeniami. Dużo zwalonych drzew. Spowodowały to trzęsienia ziemi nawracające wciąż falami. Trzęsienia ziemi, o jakich świat nie słyszał. Robot wycina przejście przez martwy pień leżący w poprzek ścieżki. Bez wysiłku i niewiele myśląc. Ślad przejścia maszyny kopiącej przez las przypomina trasę setki niedźwiedzi. Nie jest to ścieżka zniszczenia, ale jednak wyjątkowa, przerażająca ścieżka.

Robot przeprawia się przez Quinault w miejscu, gdzie rzeka odbija się od wysokiego grzbietu. Potem idzie dalej w górę, z dala do drzew. Przekracza Low Divide podczas pierwszej śnieżycy tego roku. Słońce świeci nisko nad ziemią, a potem znika za przysypany -

mi śniegiem zachodnimi szczytami. Na jakiś czas cichnie podziemne dudnienie. Śnieg tłumi wszelkie odgłosy. Przedwieczne powietrze spowija robota ciszą.

Coś się stało.

Robot zatrzymuje się na szczycie przełęczy. Okolica wydaje się nieznaną. Coś się stało wewnątrz. Victor Wu zniknął. Albo też Victor Wu w pełni się uaktywnił. Dwóch stało się jednym.

Jestem więc człowiekiem?

Jak mi na imię?

Orfeusz. Ha. Niezłe.

Stary Orf wrócił z Hadesu. Czytałem o tobie. I o Eurydyce. Nie rozumiałem wtedy. Teraz już tak. Wiersze to piękne kamienie, które wiedzą o różnych rzeczach. Wydobywasz je z ziemi. Ale niektóre zostawiasz na miejscu.

Mówię sam do siebie.

Po chwili robot, Orf, rusza równym tempem dalej. Rusza równym tempem dalej.

W dół wzdłuż brzegu Elwhy. Na północ, gdzie rzeka staje się potężna. Fale trzęsień ziemi podnoszą się i opadają, podnoszą się i opadają. Czasami na maszynę kopiącą pada jakieś drzewo, ale Orf nie zwraca na to uwagi. On jest zbudowany z twardszego materiału, nie są w stanie zrobić mu krzywdy.

W dół wzdłuż brzegu Elwhy. Obok tamy, którą Matkowcy skrupulatnie usunęli. Zresztą nawet gdyby tego nie zrobili, tama nie wytrzymałaby trzęsień ziemi. Szlak zamienia się w błotnistą drogę. Zaczyna się wyboista nawierzchnia. Robot podąża tym, co zostało z autostrady do miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się Port Angeles.

Co powiedzą na to geolodzy za parę tysięcy lat? Miasto leży w gruzach, nie da się już oddzielić jednych rzeczy od drugich, zrekonstruować go. Poskręcane elementy metalowe migoczą pośród fundamentów. Błyszczą w świetle nie wygasających pożarów. Pośród ognia i rumowisk poruszają się postacie ludzkie. Orf wtacza się do miasta.

Jakiś człowiek siedzi w kucki na pustym placu i gapi się. Orf zatrzymuje się w sporej odległości od niego.

Szukam człowieka o nazwisku Neilsen Birchbranch. Czy wie pan, gdzie mogę go znaleźć?

Mężczyzna milczy.

Czy pan wie, gdzie mogę znaleźć Neilsena Birchbrancha? Pracuje dla Protektoratu.

Mężczyzna wciąż milczy, ale zaczyna się kołysać w tył i w przód.

Szukam. Czy mógłby pan...

Mężczyzna podnosi lament.

Orf rusza dalej. W miejscu, gdzie zaczynają się piętrzyć gruzy, ustawiono blokadę na drodze. Orf zatrzymuje się przy niej. Grupa mężczyzn i kobiet uzbrojonych w karabiny wyłania się spośród zboczy miejskiego rumowiska.

Wyłaź stamtąd, mówi stary człowiek. Wskazuje bronią na Orfa.

W środku nie ma nikogo.

Wyłaż, albo wyniesiemy cię na kulach do piekła.

Już tam byłem.

No, wyłaż stamtąd.

Szukam człowieka o nazwisku Neilsen Birchbranch. Pracuj e dla Protektoratu.

Do jasnej cholery, zastrzelimy cię, ty przeklęty Matkowcze.

Czy pan wie, gdzie mogę go znaleźć?

Staruszek pluje z lekceważeniem na ziemię.

Myślę sobie, że jest razem z resztą.

Z resztą?

Tak właśnie powiedziałem.

Gdzie oni są?

Na śmietniku za miastem.

Gdzie jest śmietnik?

Tam. Stary mężczyzna wskazuje kierunek karabinem. A teraz wyłaż.

Orf odwraca się i zaczyna się toczyć w stronę śmietnika. W powietrzu rozbrzmiewają strzały. Odbijają się od niego rykoszetem i z gruchotem wpadają w rumowisko.

Osiem kilometrów za miastem Orf natyka się na wysypisko. Leżą tu ciała, setki ciał. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Na początku Orf sądzi, że są to ofiary trzęsień ziemi, poznoszone tutaj.

Krańcem ostrza Orf odwraca jedno z ciał. To kobieta. Dostała kulę w głowę.

Większość z nich została zastrzelona. Albo zarąbana. Albo przetrącono im karki kijem do golfa.

Drwale wzięli odwet.

Orf zatrzymuje się przy jednym z ciał. Rozpoznał je. To kobieta z łąki, mówczyni. To Matka Agata. Nie ma mowy o pomyłce. To jej tchnąca pokojem twarz z małą dziurką po kuli na środku czoła.

Orf toczy się z powrotem do miasta. Zapadła już noc. Nie zwalniając tempa przebija się przez blokadę. Świst kul, błyski luf przy wystrzałach. Wszystko na nic. Pędzi po ciemnych ulicach i po ulicach oświetlonych pożarami. Niektóre wzniecono specjalnie, inne wybuchły same. Mniej więcej co pół godziny przetacza się kolejne trzęsienie ziemi, przewalając gruzy. Często słychać krzyki.

Orf natrafia na zadbane ognisko. Dostrzega, że otaczają je ludzie ubrani w błękitno brązowe stroje Matkowców. Ciche zgromadzenie. Orf zatrzymuje się w pewnej odległości i zaczyna słuchać.

O Matko Agato, Matko Bogini, usłysz naszą modlitwę.

Usłysz naszą modlitwę.

Wiemy, że źle uczyniliśmy. Zgrzeszyliśmy przeciwko tobie. Usłysz naszą modlitwę.

Usłysz naszą modlitwę.

Niech szlag trafi Matkę...

Huk strzału. Ktoś - Orf nie wie, czy to kobieta, czy mężczyzna wpada zgięty w pół w krąg ognia. Inni nie uciekają, stoją bez ruchu.

Kolejny strzał. Znowu ktoś pada.

Usłysz naszą modlitwę.

Nikt się nie porusza.

Kolejny strzał. Pada mężczyzna, wyjąc z bólu trzyma się za nogę. Nikt się nie porusza. Mężczyzna skręca się z bólu w cieniu ognia, w pyle gruzów. Nikt nie śpieszy mu z pomocą.

Strzały ustają. Mężczyzna wyje z bólu. Głos kapłana zanoszą modlitwę do bogini, ludzie odpowiadają mechanicznie.

Tak jak powinny roboty, myśli Orf. Mężczyzna przestaje krzyczeć. Nic nie da się zrobić. Orf wycofuje się cicho w ciemność. Opuszcza miasto i kieruje się na wschód. Łatwo jest się posuwać po potrzaskanej autostradzie. Po dwóch godzinach dociera do pozostałości Port Townsend.

Tu nie ma gruzów ani ruin. Morze zmyło wszystko. Nie ma ciał. Nie ma drzew. Tylko pustkowie, tylko nagie pustkowie. Zjeżdża w miejsce, gdzie niegdyś były doki. Spogląda na falującą wodę cieśniny Juan de Fuca.

Odgłos trzęsienia ziemi. Orf odkrywa, dlaczego miasto zniknęło. Drgania rozchodzą się w kierunku dna morskiego i odbijają się zwierniadłanie po drugiej stronie cieśniny. Odpowiedzią morza jest tsunami. Przetacza się po lądzie. Ale wszystko zostało już zmyte przez poprzednie fale. Siła wody jest tak potężna, że prawie może wessać roboty. Orf musi hamować bieżnikami, wkopać się w ziemię, żeby nie porwała go tsunami wracająca do morza.

Tu wszyscy potonęli.

Orf nie znajdzie Neilsena Birchbrancha przetrząsając ruiny miast. Kieruje się więc na południowy zachód, z powrotem ku sercu gór.

W lasy. Orf błąka się bez celu. W końcu trafia z powrotem w okolice szybu. Wszystko tu zniszczone. Nie pozostał kamień na kamieniu. Ani śladu żywej istoty. Obóz zapadł się pod ziemię. Orf kopie, ale nie może znaleźć jm. Natrafia jedynie na poskręcany kawał czerwonej blachy - resztki hum-vee Laramie. I nic więcej. Nie ma po co tu zostawać.

Przez kolejną przełęcz. Kolejna dolina. Już nie trzyma się szlaku. Zatrzymuje się, żeby przyjrzeć się skałom, albo szczególnie pięknemu przełomowi rzeki. Śnieg ciągle pada.

Pewnego dnia trzęsienia ziemi ustają.

Cicho, dziecko. Nie płacz już. Twoje młode oczy widziały zbyt wiele. Uspokój się i odpocznij chwilę.

Nastaje zima. Orf wędruje przez Śnieżną Głowę, zstępuje po Błękitnym Lodowcu w dolinę Ho, gdzie rosną drzewa-olbrzymy. Dni stają się coraz krótsze. W tych gigantycznych lasach i na tej szerokości geograficznej zimowe dni przeradzają się w wieczny zmrok. Orf nad Ho. Woda jest mętna, niesie do morza muł wypłukany z serca Góry Olimpijskiej.

A potem żegna się z rzeką i zagłębia w las tropikalny. W najdalszą gęstwinę, wiele kilometrów od dróg. Jeśli jeszcze gdzieś są jakieś drogi.

Pewnego cichego poranka, a może był to wczesny wieczór, pory dnia zlewają się w jedno, widzi linę wspinaczkową zwisającą z drzewa. Coś się poruszyło z lewej strony.

Druga lina. Mnóstwo lin spada z drzew, jak deszcz, który długo chował się w chmurach. Po linach jak pająki splezają mężczyźni i kobiety. Orf otoczony. Ubrani w podarte zielone kombinezony, w milczeniu zbliżają się do Orfa, aż w końcu okrążają go tak ciasnym pierścieniem, że nie może się poruszyć bez ryzyka zranienia któregoś z nich.

Mężczyźni i kobiety. Niektórzy mają karabiny przewieszane przez plecy. Dwie kobiety dźwigają w ten sposób dzieci. Małe są wprost niewiarygodnie ciche.

Wszystko w porządku. Orf nie słyszał mowy od wielu tygodni. Własny głos, dobiegający z zewnętrznych głośników, zaskakuje go. Czego chcecie ode mnie?

Jeden z odzianych zielono mężczyzn występuje naprzód.

Czekaj, mówi.

Pośród milczących ludzi Orf czeka na nieznaną. Nagle coś zaczyna się poruszać w poszyciu z pnących klonów. Zza niskiego pagórka i znad martwego pnia wynurza się jm. Porusza się niezdarnie. Ten, kto nim steruje, nie zna się na rzeczy, myśli Orf.

Jm podbiega do maszyny kopiącej i zatrzymuje się.

Zza pagórka wyłania się Andrew.

Stąpa lekko po martwym pniu leżącym wśród podszycia. Podchodzi do jm. Trzyma w ręce metalowe pudełko, z którego wystaje antena.

Chcesz go z powrotem?

Przez chwilę żaden z nich nic nie mówi. Nie jest to milczenie pełne napięcia, po prostu tak trzeba. W końcu odzywa się Orf.

Laramie nie żyje. Nie mogłem jej uratować.

Wiem.

Co się wydarzyło przy szybie?

Nie jestem pewien. Znam to tylko z relacji innych osób. Ale przypuszczam, że tajny agent zmusił Gurneya do sabotażu. Prawdopodobnie groził, że zabije jego rodzinę. To była bomba. Duża bomba. Zapewne chemiczna. Wszyscy zginęli, nie tylko Laramie.

A więc to tak. Przykro mi. Więc tak. Kim są ci ludzie?

Andrew śmieje się. Orf już tak dawno nie słyszał tego suchego śmiechu. Chrapliwy, szczery śmiech, jak dawniej, ale teraz dostosowany brzmieniem do trudnych czasów.

To Strażnicy Parków Narodowych Stanów Zjednoczonych. Mieszkają tu. Na szczytach starych drzew. Strzeżemy lasu.

Strzeżemy?

Tak jakoś wyszło, że zostałem przywódcą Strażników.

Nadchodzi zima. Strażnicy zaszywają się w zakamarkach swoich jodeł i sosen, swoich świerków i cedrów. Maszyna kopiająca musi pozostać na ziemi. Ale Orf odważnie postanawia wdrapać się w jm do napowietrznej wioski.

W koronie najwyższego drzewa Andrew rozwiesił swój hamak. Wiele dni spędzają tam z Orfem na rozmowach o przeszłości i o tym, jak będzie wyglądać przyszłość. Świat polityki zmienił ton na całej ziemi. Andrew również stał się jego częścią, szukając miejsca dla swojej bandy wyklętych urzędników. Bandy, która stała się rodziną, a później plemieniem.

Strażnicy bronią środkowej części półwyspu przed Matkowcami i drwalami, a w każdym razie przed resztkami tych grup. Żadnego wycinania lasów, ale też żadnego oddawania drzewom czci boskiej. Tylko opieka i ochrona, wypełnianie obowiązków i oczekiwanie. Strażnicy bronią lasów. Nie mają stałych partnerów ani nie płodzą dzieci. Maluchy, które widział Orf, to dzieci porwane Matkowcom i drwalom.

Strażnicy muszą wiecznie mieć się na baczności. Kobiety nie mogą więc pozwolić sobie na ciążę. A jeśli im się przydarzy, zażywają wyciągi z grzybów wywołujące poronienie. Wszystko trzeba poświęcić służbie.

Zima, wiosna. Cały rok. Wiele lat. Strażnicy raz mają więcej szczęścia, raz mniej, ale nigdy nie oddają lasów. Orf im pomaga. Najczęściej jednostką motoryczną. A kiedy sytuacja staje się bardzo groźna, wirującymi ostrzami maszyny kopiącej.

Andrew ma nadzieję otworzyć szyb Moho i kontynuować kopanie, kiedy wszystko trochę się uspokoi. Zwłaszcza ze względu na odkrycie Orfa. Odkrycie czegoś... czymkolwiek jest to coś tam na dole. Ale na razie politycy walczą ze sobą i odpowiednia chwila wciąż nie nadchodzi. Andrew miał rację. Wszędzie na świecie pojawiają się plemiona, dziwne plemiona. Rządy kurczą się i upadają. Wkrótce już tylko strażnicy będą przechowywać resztki wiedzy i pamięć o przeszłości. Będą strzec czegoś więcej niż tylko drzew.

W każdym razie Andrew wyraźnie stracił zapał do projektu. Gdzieś tam w dole pogrzebana została jego ukochana, głębiej niż jakikolwiek człowiek w historii. Jeśli znów zaczną kopać, może się na nią natknąć. Andrew jest odważnym człowiekiem, Orf wie o tym. Ale może nie aż tak odważnym.

Orf zewsząd słyszy opowieści o złym człowieku, mordercy pojawiającym się to tu, to tam. Czasem w służbie Matkowców, czasem w służbie klanów drwali. Ale nigdy nie udaje mu się znaleźć Neilsena Birchbrancha. Nie może się dowiedzieć, jak on się naprawdę nazywa. Nadchodzi w końcu czas, gdy opowieści ustają.

Mijają lata. Andrew starzeje się. Orf sienie starzeje. Reaktor jądrowy maszyny kopiącej jeszcze długo się nie wyczerpie. Orf będzie żył tysiąc lat, chyba że nastąpi jakaś awaria. A może nawet dwa tysiące.

Pewnego ranka Orf wspina się w jm na koronę drzewa, gdzie Andrew rozwiesił swój hamak. I odkrywa, że Andrew zmarł w nocy.

Orf delikatnie obejmuje człowieka ramionami jm; ostrożnie znosi ciało z drzewa. Przemierza las. Przechodzi przez przełęcz. I przez

jeszcze jedną. Do doliny Elwhy. W górę rzeki Lillian, do spągu bazaltowego, który o dziwo nie posiada w swej strukturze mikroporów. To znaczy, że pochodzi z głębin, że mówi o rzeczach ukrytych we wnętrzu ziemi. To znaczy, że na tym kawałku łądu, na tym dziwnym półwyspie między dwoma basenami słonej wody, warto kopać, żeby odkryć, co to za rzeczy.

Tu Orf pochował swego przyjaciela, Andrew Huttona.

A potem Orf, zarówno maszyna kopiąca jak i jm, wraca do opuszczonego stanowiska geologicznego. Oczyszcza wejście do szybu, odszukuje stary tunel, wkopuje się w ziemię i zamyka przejście za sobą.

W środku Półwyspu Olimpijskiego, wyginającego się w gigantyczną podkowę, w sercu gór, żyje potwór, olbrzym, a niektórzy twierdzą, że bóg. Strażnik polujący w jakiejś ukrytej dolinie albo na brzegu bezimiennego strumienia, zasilanego topniejącymi śniegami, czuje czasem czyjąś obecność, czuje, że jest obserwowany. Strażnik odwraca się i widzi - co? - błysk zaśnieżonego metalu, nikły odblask słońca odbijającego się w szklistym oku? A potem ten duch, ta obecność, znika ze zmysłów strażnika i zastanawia się on, czy w ogóle coś odczuł. Takie spotkania zdarzają się jednak nie częściej niż raz lub dwa razy na kilkanaście lat.

Ale jest taka skała, czarna i wysoka, w najgłębszym, najstarszym zakątku lasu, w górze sekretne dopływu rzeki Elwhy, dokąd udają się młodzi, spragnieni wizji strażnicy. Niektórzy nie wracają nigdy z tej wysokogórskiej doliny. Inni przychodzą i opowiadają dziwne i piękne rzeczy. Pewnej szczególnej październikowej nocy, gdy księżyc jest w nowiu i wszystko spowija ciemność, potwór wyłania się ponoć z ziemi. Ale nigdy w tym samym miejscu. Zasypuj e otwór i wyrusza w drogę do skały nad Lillian.

Ziemia drży, jakby gdzieś daleko uderzył w nią piorun. Drzewa gną się łagodnie, jakby były cienkimi gałązkami, ustępując z drogi potworowi. Przy tej skale nad rzeką Lillian potwór zatrzymuje się na chwilę, błyszcząc czernią w świetle gwiazd. Trwa w absolutnym milczeniu. Dlaczego, o tym krążą już tylko legendy. Ale w takiej chwili młodzi strażnicy o czystych i odważnych sercach doświadczają snów na jawie i wypełnia ich prorocza moc.

Tuż przed wschodem słońca potwór budzi się, przekręca swoje ogromne cielsko, i wraca skąd przybył. Są tacy, którzy za nim podąża-

ją. Wyznaczeni, by tropić potwora aż do legowiska. Rzadko są to najsilniejsi albo najdzielniejsi ludzie, nikt więc po nich specjalnie nie płacze. Niektórzy twierdzą, że potwór ich pożera, albo torturuje w ogniach płynnych skał. Ale inni mówią, że potwór prowadzi ich do dziwnego kraju, pod górąmi. Kraj ten znajduje się głębiej i jest rozleglejszy niż ktokolwiek potrafiłby sobie wyobrazić. Ziemia jest większa wewnątrz niż na powierzchni. Nikt nie wie, jaka jest prawda. Nikt nie wie, bo nigdy nie wrócił żaden śmiałek, który mógłby opowiedzieć im o tym. I świat dalej rozpada się w gruzy, a potwór - czy bóg - wciąż milczy.